



BIULETYN INFORMACYJNY KWARTALNIK

Nr 4 (76) rok 19, Warszawa, październik - grudzień 2002

Redakcja

03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Zespół redakcyjny:	Władysław Filar	- redaktor naczelny
	Tadeusz Wolak	- redaktor
	Stanisław Biskupski	- redaktor

Projekt okładki i odznaki dywizyjnej:

Jerzy Dąbrowski

ISSN 1234-0944

Wydawca:

Światowy Związek

Żołnierzy Armii Krajowej

Okręg Wołyński

27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK

03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Wydanie publikacji dofinansowane przez Komitet Badań Naukowych

Nakład: 700 egz.

Druk i oprawa:

Zakład Poligrafii ul. Ogrodowa 51 00-873 Warszawa

*Najlepsze życzenia Noworoczne wszelkiej
pomyślności, zdrowia, długich lat życia, rado-
ści, optymizmu, pogody ducha wszystkim kole-
żankom i kolegom, żołnierzom 27 Wołyńskiej
Dywizji Piechoty Armii Krajowej, żołnierzom
wołyńskiej samoobrony, konspiracji, przyja-
cielom, sympatykom, czytelnikom Biuletynu
Informacyjnego.*

R e d a k c j a



PRZYCZYNY, PRZEBIEG I SKUTKI OPERACJI „WISŁA”

Ounowska historiografia i hałaśliwa propaganda usiłuje narzucić Polakom kłamliwą interpretację polsko – ukraińskich stosunków, w tym przede wszystkim krwawych wydarzeń na Kresach II Rzeczypospolitej i południowo – wschodnich terenach PRL w latach 40 minionego wieku. Z okazji 55 rocznicy operacji „Wisła” przeprowadzono z inicjatywy OUN kolejną kampanię propagandową, której celem było – używając języka „Naszego Słowa”, organu Związku Ukraińców w Polsce – „wkorzenie” w świadomość Polaków onunowskiej interpretacji tej operacji, oczywiście z całkowitym pominięciem jej istotnych przyczyn, rzeczywistego przebiegu i skutków.

Rzeczywistych i istotnych przyczyn operacji „Wisła” trzeba szukać przede wszystkim w ekspansjonistycznym integralnym nacjonalizmie ukraińskim, czyli hajdamackim nazizmie, jak i w złoczynach jego fanatycznych wyznawców spod znaku OUN-UPA, którzy obłudnie założyli, że wszędzie tam, gdzie mieszkali Ukraińcy, nawet w znacznej mniejszości, są to tereny, które muszą wejść w skład przyszłego państwa ukraińskiego, a inne narodowości na tych terenach powinny być fizycznie wytępione. Dotyczyło to głównie ludności polskiej i żydowskiej.

Realizację tych ludobójczych założeń na skalę masową OUN rozpoczęła wczesną wiosną 1943 r. przy pomocy UPA – swojego „zbrojnego ramienia” i Samoobronnych Kuszczowych Widdilów (SKW), składających się z miejscowej otumanionej czerni. Na Wołyniu i południowym Polesiu ludobójstwo ludności polskiej osiągnęło piekielne apogeum w lipcu 1943 r. Wołyńskie inferno, czyli piekło, nie ma analogów podczas II wojny światowej, bowiem okrucieństwem oprawców z OUN-UPA-SKW prześcignęło zbrodnie hitlerowskie (Ewa Siemaszko, Władysław Siemaszko, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-45, t. I, II, Warszawa 2000).

Szły z Wołynia po Polsce umęczonej hiobowe wieści. Nieśli je uciekinierzy, którzy uniknęli okrutnej śmierci. Zatrzymywali się w Małopolsce i Lubelszczyźnie, licząc że tutaj Apokalipsa się nie po-

wtórzy. Niestety, mylili się, bo Wołyń był jej pierwszym etapem, drugi rozpoczął się w Małopolsce w 1944 r., trzeci – na Zamojszczyźnie i Chełmszczyźnie jeszcze pod okupacją hitlerowską, a czwarty etap depolonizacji objął prawie 16 powiatów południowo – wschodniej PRL. Dopiero operacja „Wista” położyła kres inwazji.

Ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA z niespotykanym barbarzyństwem wytworzyło w świadomości Narodu Polskiego poczucie śmiertelnego zagrożenia ze strony ukraińskiego hajdamackiego naziźmu, które miało istotny wpływ na podjęcie przez władze PRL operacji obronnej „Wista”. Ta świadomość realnego zagrożenia, trwającego i po zakończeniu wojny, nie jest dostatecznie uwzględniana przez historyków zajmujących się tą operacją, a historycy oounowscy pomijają go zupełnie, przez co skandalicznie wypaczają jej obraz.

a) Pierwsza inwazja OUN-UPA na wschodnią Lubelszczyznę i Rzeszowszczyznę

Wczesną wiosną 1944 r. jeszcze pod okupacją hitlerowską, OUN-UPA, współdziałając z okupantem i miejscowymi SKW, dokonała najazdu na przybużańskie powiaty: hrubieszowski, tomaszewski, biłgorajski, chełmski z zamiarem poszerzenia inwazji na lubaczowski, zamojski, przemyski i sąsiednie.

Prawdopodobnie pod koniec lutego 1944 r. Dmytro Kłaczkiwśkyj „Kłym Sawur, d-ca UPA Północ, rozkazał Jurijowi Stelmaszczukowi „Rudemu”, d-cy obwodu wołyńsko – brzeskiego UPA, przeprowadzenie rozmów z komisarzem okręgu kowieńskiego, Erichem Kassnerem, w sprawie dozbrojenia sotni i bezkolizyjnego przerzucenia ich przez Bug celem wzmocnienia antypolskiego banderowskiego frontu na terenach od Biłgoraja do Podlasia (Polikarp Szafeta, Wczoraszni rany, Lwów 1989, s. 77 i nast.). Grasowały już tam bandy SKW pod wodzą Myrosława Onyszkewycza, późniejszego d-cy UPA na całą tzw. Zacurzonię. Dokonywały one tam licznych mordów już w drugiej połowie 1943 r. na Polakach i rozrzucały ultimatywnie ulotki, nakazujące im opuszczenie tych ziem pod groźbą śmierci.

Wkrótce znalazło się tam kilkanaście sotni, które na Wołyniu dokonywały masowych rzezi, między innymi sotnia, a następnie kuren jednego z najkrwawszych atamanów – „Żeleźniaka”, którego upowcy mają na sumieniu tylko we wschodniej Lubelszczyźnie bli-

sko tysięcy ofiar śmiertelnych ludności polskiej i ponad pięć tysięcy spopielonych budynków (Jan Czapla, Walka z OUN-UPA w latach 1944-1947 (kureń „Żeleźniaka”), w zbiorze: Z walk przeciwko zbrojnemu podziemi, 1944-1947, Warszawa 1966). Jak na ironię losu jego kureń doczekał się w Polsce tryumfalnego pomnika i to w miejscu, gdzie dokonał on ohydnych zbrodni na ludności polskiej i ukraińskiej.

Wkrótce ruszyły i na Zasanie sotnie UPA Zachód, również dobrożone po zęby przez Niemców w zamian za „usługi” przeciwko AK, BCh i Armii Czerwonej. Ludność polska w całym wschodnim pasie przygranicznym, obejmującym 16 powiatów, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W marcu 1944 r. wzmocnione siły UPA-SKW, współdziałające ściśle z niemiecką żandarmerią, oddziałami SS-Galizien i innymi hitlerowskimi formacjami przyspuściły generalny szturm na słabe polskie siły partyzanckie – BCh i AK, wyczerpane walkami w powstaniu zamojskim w obronie wysiedlanej ludności polskiej. Działania UPA-SKW skierowane były w pierwszym rzędzie przeciwko ludności polskiej, którą w okrutny sposób mordowano, wsie palono. Była to kontynuacja depolonizacji metodami fizycznej eksterminacji, zapoczątkowanej na Wołyniu.

Celem banderowskiej ofensywy było również stworzenie warunków do frontalnego ataku na Zamojszczyznę, a następnie na inne sąsiednie powiaty. Nad ludnością polską tych regionów zwiśla groźba całkowitego zniszczenia (Jerzy Markiewicz, Partyzancki kraj, Lublin 1980, s. 19 i nast.; Zygmunt Mańkowski, Jerzy Markiewicz, Jan Naumiuk, Kalendarium walk BCh na Lubelszczyźnie, Lublin 1964, s. 116 i nast.; Zbigniew Ziembikiewicz, W partyzantce u „Rysia”, Warszawa 1978; Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na ludności cywilnej w południowo – wschodniej Polsce 1942-1947, Przemysł 2001).

Sytuacja na terenie obwodu, zaczynając od 5 marca 1944 r. – meldował komendant hrubieszowskiego obwodu BCh – jest wprost tragiczna. W chwili obecnej płoną wsie polskie. W czasie pożaru ginie ludność polska od karabinów, siekier, noży, młotków oraz w płomieniach. (...) Pożary nie ustają nawet w dzień. Ludność opuszcza gremialnie swe gospodarstwa. udając się do Hrubieszowa, na teren powiatu tomaszewskiego, zamojskiego i krasnystawskiego. (...)

Wszystkie drogi – zarówno polne jak i szosy – zostały opanowane przez policję ukraińską oraz ortschutzów. Ci ostatni są zwyczajną bandą, jawnie zatwierdzoną przez Niemców. (...) Na terenie ukazały się oddziały SS „Galizien”. Ci wypowiadają jawnie, iż są ostatnią awangardą wojsk niemieckich i jako ostatni będą wyrzynać ludność polską do ostatniego”. (Bataliony Chłopskie na Lubelszczyźnie 1940-1944. Źródła, Lublin 1962, s. 183).

Dramatyczne były i następne raporty o masowych zbrodniach UPA-SKW na ludności polskiej, np. raport placówki AK w Tyszowcach meldował o zagładzie wielu polskich wsi, desperackich ucieczkach ludności, braku broni w samoobronach, o groźnych ośrodkach upowskich w Hostynnem, Kostrowie, Werbkowicach i innych, które atakowały polską ludność i paliły jej wsie (Z. Mańkowski, Między Wisłą a Bugiem, Lublin 1982, s. 413).

Ale nawet w tych dramatycznych sytuacjach Komenda Główna BCH wydała rozkaz lubelskiej komendzie okręgu, w którym nakażywała: „Akcje ograniczyć do elementu zaczepnie działającego w stosunku do ludności polskiej, ogół zaś ludności (ukraińskiej – F.B.), zwłaszcza kobiety, starców i dzieci pozostawić w spokoju. Również nie należy dokonywać masowego palenia całych wsi i stosować odpowiedzialności zbiorowej, przeciwnie – swym zachowaniem podkreślać, że Ukraińcy, żyjący z polską ludnością w zgodzie, uważani są za równych współobywateli” (z. Mańkowski, tamże, s. 416).

Nie jedyny to rozkaz polskich władz podziemnych nakazujący ochronę ludności ukraińskiej. Po masowych rzeziach ludności polskiej na Wołyniu i w trakcie ich kontynuacji w Małopolsce Wschodniej dowódca okręgu Wołyńskiego AK płk „Luboń” wydał 16.I.1944 r. rozkaz: „Nie odwzajemniajmy się w walce mordami kobiet i dzieci ukraińskich. Najbardziej kategorycznie powtarzam zalecenia i rozkazy dawane ustnie na odprawach inspektorom i dowódcom oddziałów partyzanckich, aby nie dopuszczali się w walce lub po jej zakończeniu do czynienia krzywdy kobiecie i dziecku ukraińskiemu. Z całą surowością będę pociągał do odpowiedzialności dowódców i żołnierzy, którzy by posunęli się do takich niegodnych czynów (Józef Turowski, Pożoga, Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Warszawa 1990, s. 150). Na straży tych humanitarnych zasad konsekwentnie stali przede wszystkim kapelani oddziałów partyzanckich.

Dla porównania warto przytoczyć choćby jeden z 14 punktów dyrektywy dowództwa UPA z początku 1944 r.:

„4. W związku z postęпами Armii Czerwonej należy przyspieszyć likwidację Polaków, wycinając ich do korzeni, polskie wsie palić, a w mieszanych niszczyć tylko polskie zabudowania, ale tylko wówczas, gdy są one oddalone nie mniej niż 15 metrów” (P. Szafeta, tamże, s. 23).

Dramatyczne wydarzenia we wschodniej Lubelszczyźnie potwierdzały wnioski z tragicznych doświadczeń Wołynia i Małopolski Wschodniej, że tylko zbrojna siła, a w ostateczności nawet ograniczony odwet powstrzymywał obojczyków przed realizacją ludobójczej inwazji na tereny odwieczne polskie.

Dokumenty świadczą, że inwazja OUN-UPA na wschodnią Lubelszczyznę i Rzeszowszczyznę w pierwszej połowie 1944 r., a nie wykluczone, że i w następnych latach, była prowadzona za wiedzą, może nawet i aprobatą samego Nikity Chruszczowa, który 1 marca tego roku oświadczył na posiedzeniu Rady Najwyższej USRR: „Naród ukraiński będzie domagać się włączenia do państwa radzieckiego rdzennie ukraińskich ziem, jakimi są Chełmszczyzna, Hrubieszów, Zamość, Tomaszów, Jarosław” (W. Poliszczuk, Dowody zbrodni OUN-UPA, Toronto 2000, s. 640). Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że ta, a może i inne wypowiedzi Chruszczowa dały silny impuls do marcowej ofensywy OUN-UPA-SKW przeciwko oddziałom AK i BCh oraz ludności polskiej. Przypuszczenie to potwierdzałby i list Chruszczowa do Stalina z 20.VI.1944 r. z załączonymi podpisami Ukraińców 34 wsi, zebranych zapewne przez OUN, w którym Chruszczow zapewniał, że jeśli Stalin zaaprobuje jego propozycje, to on niezwłocznie przystąpi do formowania obwodu chełmskiego, zawładnie ziemie, które do niego wejdą i sporządzi projekt państwowej granicy. Ale Stalin, związany międzynarodowymi konwencjami, zignorował zawarte w liście propozycje („Gazeta Wyborcza”, 18.II.1998).

Chruszczow, jako Ukraińiec, bardzo zapobiegliwie krzątał się wokół powiększenia terytorium Ukrainy – w 1954 r. włączył do USRR Krym, chociaż liczył on tylko kilka procent Ukraińców i niewiele więcej liczy obecnie.

b) Inwazja OUN-UPA na południowo-wschodnią Polskę

Po przesunięciu się frontu nad Wisłę w trzeciej dekadzie lipca 1944 r. i nieudanych zabiegach u Stalina, wschodnią Polskę ponownie załazy banderowskie kurenie i sotnie – wypełzły z przybużańskich i karpackich ostępów. OUN-UPA wzmogła inwazję, której celem, jak dotychczas, było zdepolonizowanie i aneksja tych terenów do USRR – od Bieszczadów do Podlasia, w sumie 16 powiatów. W okresie od sierpnia 1944 r. do lipca 1947 r. grasowało tam około 60 band, liczących ponad 3 tys. upowców wspomaganych przez około 4 tys. członków SKW.

Dowódcy kureni, sotni, czot jak i wielu szeregowych upowców otrzymało przeszkolenie w różnych formacjach hitlerowskich, gdzie odbywali ochotniczą służbę, dokonując zbrodni na ludności żydowskiej, polskiej i ukraińskiej. Wielu z nich służyło w dywizji SS – „Galizien”, byli również Niemcy. „Wiadomo mi – zeznał ujęty banderowiec – że w sotni byli Niemcy, rozmawiali po niemiecku” (Artur Bata, Bieszczady w ogniu, Rzeszów 1987, s. 130).

Jednym z pierwszych rozkazów atamana UPA na tzw. Zaczurzonię, Myroslawa Onyszkewycza, brzmiał: „Wytepić Polaków zamieszkałych na terenach południowo – wschodnich i dążyć do ich całkowitego usunięcia. Nie uznawać linii Curzona za granicę polsko – radziecką. Czekać na wybuch trzeciej wojny światowej i tu z utworzonego ... przyczółka przy sprzyjających okolicznościach politycznych pójść na wschód w celu zbudowania państwa ukraińskiego” (Edward Prus, Operacja „Wisła”, Wrocław 1994, s. 23).

W Bieszczadach wykonywanie tego rozkazu rozpoczęła stonia „Bira”, która 6.VIII. zamordowała w Baligrodzie 42 mężczyzn zgarniętych przed kościołem po mszy (A. Bata, tamże, s. 108). Ta zbrodnia, jak wszystkie inne, obnażyła całkowite zezwierzczenie upowców, bowiem trzy dni wcześniej sotnyk zapewniał polską delegację z Baligrodu, że UPA nie ma wrogich zamiarów wobec Polaków. Taką metodę uspokajania Polaków, by następnie ich bestialsko wymordować, banderowcy stosowali bardzo często (Zbrodnie ..., s. 85).

Prawie przez rok bandy UPA grasowały we wschodnich powiatach PRL w warunkach całkowitej bezkarności, dokonując pojedynczych i zbiorowych mordów milicjantów, urzędników i cywilnej ludności polskiej, paląc jej domostwa (Na Rubieży, nry 22/19997,

27, 32/1998, 1/1999; Zbrodnie ..., passim). Terror UPA miał na celu zastraszenie bezbronnej ludności polskiej i zmuszenie jej pod groźbą śmierci do opuszczenia terenów zamieszkania. Zdesperowana ludność opuszczała zagrożone tereny uciekając do miejscowości bezpieczniejszych, podobnie jak to czyniła na Zamojszczyźnie i innych terenach zagrożonych przez OUN-UPA. Henryk Dominiczak, kronikarz walk z UPA na pograniczu bieszczadzkim pisze: „Sotnie UPA szalały tu wprost, dopuszczając się nowych i coraz potworniejszych zbrodni na niewinnej ludności. Wypowiedziały walkę wszystkim i wszystkiemu, co na tej ziemi istniało, niszcząc dorobek całych pokoleń (H. Dominiczak, Wojska ochrony pogranicza w latach 1945-1948, Warszawa 1971, s. 108).

Twierdzenie ounowskich historyków, powielane również w Krasicy na konferencji INP, że OUN-UPA już w 1944 r. z własnej woli zaprzestała mordów ludności polskiej, należy do wierutnych kłamstw. Zmusiły ją do tego samoobrony ludności, posterunki milicji, a w drugiej połowie 1945 r. pododdziały WP, skierowane tutaj po zakończeniu wojny. OUN-UPA musiała brać pod uwagę, że strona polska w ostateczności gotowa była zastosować odwet, by powstrzymać rezuńskie zapędy banderowców.

W drugiej połowie 1945 r. OUN-UPA z całą bezwzględnością zaczęła zwalczać ewakuację ludności ukraińskiej do ZSRR, która się odbywała zgodnie z umową o wymianie ludności zawartą 9.IX.1944r. między USRR i PKWN. W obawie przed pozbawieniem jej bazy kwaterunkowej, żywieniowej, mobilizacyjnej i informacyjnej OUN-UPA rozpętała dziki terror również w stosunku do Ukraińców, którzy wyrażali chęć wyjazdu, traktując ich jako zdrajców interesów ukraińskich, zasługujących na karę śmierci, którą często wykonywała. By związać bardziej ludność ukraińską i łemkowską z terenem zamieszkania i UPA, jej dowództwo przeprowadzało ustawiczne mobilizacje, często nocne łapanki mężczyzn. Za odmowę służby w UPA stosowano najsurowsze kary, najczęściej karę śmierci, również wobec najbliższych poborowego.

W celu technicznego uniemożliwienia ewakuacji ludności UPA niszczyła stacje, tory i tabor kolejowy, wysadzała mosty, napadała na oddziały wojskowe i konwoje, pod osłoną których dokonywano przesiedleń, mordowała przesiedlanych. A tam, gdzie ludność została

wysiedlona, stosowała barbarzyńską taktykę masowego palenia i niszczenia całych wsi i osiedli, puszczając z dymem nagromadzony przez pokolenia majątek trwały i dobra kultury. By odstraszyć wypędzoną z Kresów i zdziesiątkowaną przez OUN-UPA ludność polską od chęci osiedlania się na miejsca przesiedlonych Ukraińców, groziła w ulotkach, że gospodarstwa te zostaną spalone. I paliła je masowo w całym południowo – wschodnim pasie PRL, nawet te niezasiedlone. A wielu Polaków, którzy uniknęli śmierci na Kresach, znajdowali ją tutaj z rąk tych samych rezunów.

Pierwsze miesiące 1946 r. przyniosły dalszy wzrost terroru OUN-UPA, której sotnie zostały uzupełnione w wyniku przymusowego poboru. Ginęli żołnierze, często bestialsko mordowani, którzy mieli za sobą konspirację, zsyłki, walki partyzanckie i frontowe, krwawe boje. Np. 8 Dywizja – Drezdeńska, która miała w swoim składzie 1153 partyzantów i która pod Budziszynem straciła 3650 zabitych i rannych, w walkach z UPA straciła dalszych 120 zabitych, 48 zaginionych bez wieści oraz 147 rannych (W walce ze zbrojnym podziemiem 1945-1947, Warszawa 1972, s. 101).

Ginęli milicjanci z podobną okupacyjną przeszłością, rekrutujący się z BCh, AK, AL i innych organizacji, żołnierze KBW, WOP, urzędnicy i ludność cywilna, Polacy, Ukraińcy i Łemkowie) Zbrodnie ..., *passim*). W kilkunastu przygranicznych powiatach ciągle trwała wojna ze zbrojną inwazją OUN-UPA. Powołana Grupa Operacyjna „Rzeszów” (5.IV.-31.X.1946), dysponująca kombinowanymi pododdziałami z trzech dywizji, zajęta głównie przesiedlaniem Ukraińców do ZSRR, nie zlikwidowała OUN-UPA-SKW, stanowiących nadal groźną siłę militarną, zagrażającą bezpieczeństwu ludności, władz administracyjnych, strażnikom WOP oraz mniejszym oddziałom WP. Mściło się kunktatorstwo oraz naiwna wiara władz PRL w opamiętanie OUN i rozwiązanie UPA-SKW. Nie zostało również dokończzone przesiedlenie ukraińskiej ludności do ZSRR, mimo że jego władze, odczuwając ostry brak rąk do pracy, domagały się tego i ponaglały rząd polski, zwłaszcza w odniesieniu do Łemków, których uważały za sobie przychylnych i chętnych do wyjazdu. Ale za wstawiennictwem władz polskich, zwłaszcza W. Gomułki, Łemków ominęło przesiedlenie. W ten sposób Ukraińcy, ale i niestety Łemkowie, nadal stanowili, najczęściej pod terrorem, bazę dla

upowskich sotni, które na początku 1947 r., razem z SKW, stanowiły jeszcze poważną siłę militarną, liczącą ponad 4 tys. ludzi dobrze uzbrojonych i wyszkolonych. W lesistym terenie, zwłaszcza w górzystych i trudnodostępnych Bieszczadach, siły te mogły się trzymać wiele lat i terrorem destabilizować powojenne życie na znacznym obszarze, również na terenach sąsiednich, a nawet w całym kraju.

Taką sytuacją były zaniepokojone życzliwe Polsce państwa zachodnie, obawiając się, że nasz kraj nie jest w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwa, stabilizacji i pokoju tak niezbędnego do odbudowy katastrofalnie zniszczonego i wykrwawionego kraju.

Z tej sytuacji musiały być niezadowolone i władze radzieckie, gdyż grasujące w pograniczu sotnie były w równym stopniu niebezpieczne i dla Związku Radzieckiego. W środowiskach polskich istniała nawet obawa, że dywizje NKWD, zwalczające UPA, mogły wkroczyć na tereny polskie i dokonać przy okazji korekty granicy, za czym opowiadał się N. Chruszczow i jego ukraińska ekipa. Takiej korekty zresztą dokonały władze radzieckie w lutym 1951 r.

W końcu wyczerpała się cierpliwość władz lokalnych i centralnych PRL, które musiały wreszcie podjąć zdecydowane kroki, by położyć kres bandyckiemu terrorowi OUN-UPA-SKW i rozlewowi krwi na znacznym obszarze kraju.

c) Obrona, jedynie słuszną i humanitarną decyzją władz polskich

Takiej dramatycznej sytuacji, jaką spowodowała OUN-UPA w południowo – wschodniej Polsce, nie mógł tolerować żaden rząd, niezależnie od jego politycznych orientacji. I rząd londyński nie postąpiłby inaczej. Jedynym rozsądnym wyjściem w tej sytuacji było zastosowanie zdecydowanych, skoordynowanych działań militarnych i administracyjnych jednocześnie, by dwa lata po wojnie położyć ostatecznie kres rozlewowi krwi. Prezydium Rady Ministrów podjęło 24.IV.1947 w pełni uzasadnioną uchwałę, która głosiła:

1. Minister obrony narodowej w porozumieniu z ministrem bezpieczeństwa publicznego wydzieli odpowiednią liczbę jednostek wojskowych w celu przeprowadzenia akcji oczyszczenia zagrożonego terenu i likwidacji band UPA.

2. Państwowy Urząd Repatriacyjny przeprowadzi akcje przesiedleńczą ludności ukraińskiej i ludności zamieszkałej na terenach, gdzie działalność band UPA może zagrażać ich życiu i mieniu (E. Prus, tamże, s. 44).

W taki sposób, drogą militarną i administracyjną, likwidowano ludobójcę i agresora, który wymordował na Kresach Południowo – Wschodnich II Rzeczypospolitej kilkaset tysięcy ludności polskiej, żydowskiej, ukraińskiej i czeskiej, a następnie najechał nasz kraj, by krwawo go zdepolonizować i oderwać od niego i tak już okrojonego, prawie 20 tys. km².

Operacja „Wisła”, trwająca od 28.IV. do 31.VII.1947 r., została przeprowadzona przy użyciu 21 tys. WP, KBW, MO, SOK i licznego aparatu PUR. Była akcją wyjątkowo kosztowną, jak na biedny, zdevastowany przez wojnę i okupację kraj, pochłonęła olbrzymie środki finansowe, które można byłoby użyć na jego odbudowę. Przesiedlanej ludności ukraińskiej i lemківskiej zapewniono transport na dobytek, ochronę i bezpieczeństwo, wyżywienie i opiekę lekarską. Biskup grecko – katolicki, Tadeusz Hajkowicz, na kongresie Ukraińców w Warszawie w 1997 r. powiedział: „Akcja „Wisła” była olbrzymim dramatem, jednak mimo wszystko cieszyliśmy się, że zostaliśmy w Polsce i nie wywieziono nas na radziecką Ukrainę” (Zygmunt Doroba, Niezupełnie tak było, „Myśl Polska”, nr 4, 2000).

Ponad 140 tys. przesiedlonych otrzymało gospodarstwa na północnych i zachodnich Ziemiach Odzyskanych o znacznie wyższym standardzie i większym areale niż pozostawione w spustoszonych i wypalonych przez UPA terenach wschodnio – południowej Polski. Na zagospodarowanie przesiedleni otrzymali zapomogi pieniężne, ziarno na siew i pomoc materiałową na remont zabudowań. Mimo niewątpliwych przykrości i dramatów w trakcie przesiedleń – w ogólnym rachunku przemieszczenie tych mniejszości stało się dla nich dużym awansem cywilizacyjnym – społecznym i materialnym. Tysiące młodzieży przesiedlonych mniejszości ukończyło szkoły średnie i wyższe, otrzymało posady i stworzyło sobie warunki życia, o jakich mogą tylko marzyć ich rodacy na Ukrainie, niż to można było osiągnąć na poprzednich terenach zacofanych i zniszczonych przez wojnę i UPA. Przyznają to sami przesiedleni, którym obca jest jęcząca propaganda, uprawiana przez ounowskich historyków i

członków Związku Ukraińców w Polsce. Jako równoprawni obywatele państwa polskiego przesiedleni mają w wielu przypadkach przywileje, których mogą pozbawić im Polacy na Ukrainie i ci z Kresów, którzy zdziesiątkowani przez UPA, uciekali stamtąd jak stali, by ratować życie, pozostawiając tam cały swój wielopokoleniowy dorobek. Mniejszości ukraińska i łemkowska, jak i inne, otrzymują od państwa wysokie dotacje na swoje szkolnictwo (o 20-50% wyższe niż polskie), podręczniki, wydawnictwa i prasę oraz na niewspółmiernie do potrzeb rozwiniętą działalność kulturalną, mają w zasadzie nieograniczony dostęp do mediów, o którym Kresowianie mogą tylko sobie pomarzyć.

Ci, którzy rozdzierają szaty nad losem przesiedlonych, licząc na jakieś odszkodowania i rekompensaty, powinni wiedzieć, że operacja „Wisła” była aktem wymuszonym na polskich władzach przez obłądną ideologię OUN i jej zbrodnicze działania, rozpoczęte w 1942 r. i kontynuowane z najdzikszą zjadłością i zaślepieniem jeszcze dwa lata po zakończeniu straszliwej wojny. Powinni również pamiętać, że operacja „Wisła” uratowała życie wielu przesiedlonym, bo na poprzednich terenach bez tej operacji rozlewowi krwi ukraińskiej, łemkowskiej i polskiej nie byłoby końca, zwłaszcza w lesistych i górzystych terenach Bieszczadów. Tam zdesperowani przestępcy z OUN-UPA-SKW – w obawie przed wymiarem sprawiedliwości – trzymaliby się długo, kontynuując bandycki proceder. Potwierdzeniem tej ponurej perspektywy były resztki band, które przedostały się na Mazury i Dolny Śląsk i wśród przesiedlonej ludności grasowały do 1948 r. Banderowiec Omelan Pleczeń przesiedział w bunkrze bieszczadzkim do 1956 r.

„Jedno jest pewne – pisze Z. Doroba – że płomień walki prowadzonej przez tę formę (OUN-UPA – F.B.) nie zgaszony nagłym i szerokim podmuchem akcji „Wisła” mógłby tlić się jeszcze długie lata, pochłaniając coraz to nowe ofiary, a mieszkająca tam ludność manipulowana i wykorzystywana przez sfanatyzowanych nacjonalistów nie byłaby wolna od ciec picia” (Z. Doroba, tamże). Wiktor Poliszczuk wysunął nawet tezę, że gdyby nie operacja „Wisła”, to mielibyśmy już polskie Kosowo („Przegląd Tygodniowy”, 28.VII.1999).

Przyczyny, przebieg i skutki operacji „Wisła” jednoznacznie prowadzą do wniosku, że była ona przede wszystkim operacją

obroną, przeprowadzoną w sytuacji wymuszenia oraz w stanie wyższej konieczności i —jak na tamte ekstremalne warunki — była operacją humanitarną, bo władze nie zastosowały zbiorowej odpowiedzialności w postaci odwetu za potworne ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA-SKW na tysiącach polskich dzieci, kobiet i mężczyzn na Wołyniu, południowym Polesiu, w Małopolsce Wschodniej i południowo – wschodniej PRL. Przesiedlonym stworzono na równi z ludnością polską warunki dla pełnego gospodarczego i kulturalnego rozwoju.

* * *

Jan Jaromiński „Trzyjot”

W SZEREGACH 27 WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY AK (WSPOMNIENIA)

(Dalszy ciąg wspomnień z B.I. nr 3(75) lipiec- wrzesień 2002 r.)

20 maja 1944 r. Sobota.

W nocy z 19 na 20 maja, spałem pod jednym drzewem z „Cisem” i „Jaworem”. O świcie ppor. „Molli” z moim plutonem (pozostali na miejscu tylko chorzy) poszedł na patrol w stronę wąskotorowej kolejki. Szliśmy marszem ubezpieczonym. Ani na nasypie, ani obok kolejki Niemców nie było. Wykonaliśmy więc jedno zadanie i zameldowaliśmy dowódcy baonu.

Oprócz tego, patrol w składzie pięciu ludzi, pod dowództwem kaprała Mroza, poszedł stwierdzić, czy na grobli przy jezioru są partyzanci radzieccy, czy ich nie ma. Jeśli są, to my mieliśmy iść im w pomoc, by bronić przejścia przez tę groblę, a jeśli ich tam nie ma – zameldować.

Patrol poszedł, a ppor. „Molli” czegoś był w złym humorze. Mówił do mnie, że nie ma najmniejszego sensu, tak małymi siłami, bronić przejścia (24 ludzi i dwa rkm). Dodał, że jeśli tam radzieckiej partyzantki nie ma, to on ludzi nie wyśle tak długo, jak długo nie otrzyma pomocy.

Chyba nie upłynęło więcej jak 25 minut od chwili wymarszu patrolu, gdy usłyszeliśmy silny wybuch. Macają ich, albo mina – pomyślałem. Drugiego wybuchu nie było, a więc mina.

- Mina! – zawołał ppor. „Molli”.

I tak faktycznie było. Po kilku minutach przyszedł szer. Grab i zameldował, że st. strzel. „Granata” nastąpił na minę i kpr. Mróz prosi o koc i dwóch ludzi, by pomogli zabrać rannego. Partyzantów radzieckich na grobli nie było.

Po tym meldunku dowódca kompanii wyznaczył dwóch ludzi do pomocy i dał rozkaz do powrotu patrolu.

Około 20 minut czekaliśmy na patrol. Dla mnie był to szczególnie smutny obraz. Czterech ludzi w kocu niosło nie człowieka, nie młodzieńca (17 rok życia) ale prawie strzępki po nim. Lewa noga w kolanie urwana, trzymała się tylko na skórze, podobnie wyglądała lewa ręka w łokciu. Z prawej zaś nogi i ręki, mięśnie od kości oderwane, bezwładnie zwisały, a mięśnie klatki piersiowej miał zrolowane w wałek pod brodą. A najgorsze było to, że te strzępki ludzkie zachowały całkowitą przytomność. Prawie bez przerwy prosił o wodę, której, niestety, wokół nas nie było. Ten smutny orszak, zamykał jego brat i przełożony, kaprał Mróz. Znowu jedna ofiara więcej. Ppor. „Molli” przeklinał dowództwo. Dlaczego? Przygnębieni wracaliśmy do obozowiska niosąc „Granata” na zmianę. O ratunku dla niego nie mogło być mowy, bo oprócz upływu krwi, wszystkie rany miał zanieczyszczone ziemią. Gdy mnie zobaczył zaczął prosić.

- Panie ogniomistrzu, wody! Panie Trzyjot, pić, pić ...

- Zaraz, zaraz – odpowiedziałem i nieśliśmy go dalej, do obozowiska bo tylko tam, w prowizorycznych studzienkach, była możliwie czysta woda do picia. „Granat” usłyszał głos dowódcy i znowu ...

- Panie poruczniku – wody. Boli, boli! Wody, wodusi, choć trochę. Gruszka, cholero, daj mi wody.

Biedny chłopiec, bardzo cierpiał. Nie mogłem tego słuchać i pozostałem w tyle. Było mi go ogromnie żal. Powoli koledzy donieśli go do obozu i tam dostał wody do picia. Po dwu i pół godzinach męczarni skonał. Przed śmiercią prosił braci, by matce przekazali jego ostatnią prośbę.

Powiedzcie Mamie, niech po mnie nie płacze. To nic, że ja umieram, to nic. Chyba tak trzeba, taki los. Pamiętajcie i powiedzcie, niech ... nie ... płacze. On nie płakał i przytomności nie stracił do końca. (Według relacji ustnej szefa kompanii).

Przy śmierci tego chłopca nie byłem, gdyż zostałem wyznaczony na dowódcę nowej placówki, przy skrzyżowaniu dróg w lesie. Obsadziłem ją dwudziestoma ludźmi, a na południowy wschód od nas, na dobre rozgorzała bitwa. Tym razem radziecka partyzantka tłukła się z Niemcami, a odległość od walczących do nas, oceniając ją słuchem, mogła wynosić 2 do 3 km. Oprócz tego Niemcy dość często rzucali pociskami to tu, to tam. Ten ogień nękający z moździerzy i armat nie wyrządził nam szkód, ale na pewno działał na psychikę. Bardzo blisko placówki upadło cztery pociski, z których jeden ściał wierzchołek drzewa, a ten spadając, przewrócił prowizoryczny kościółek (wiadro) z gotującym się obiadem (samo mięso).

O sukinsyn, osolił mi mięso piaskiem. A bodajbyś zdechł, szwabska mordo! – biadolił kuchcik i rad nieraad musiał iść po świeżą wodę do obozowiska, od nowa zaczynać gotowanie. A tymczasem wszystkim na placówce kiszki marsza grały. Upłynęło dalszych kilkadziesiąt minut i tym razem od strony Huty – Ratneńskiej, spadło trzy serie po dwa pociski. Również bez skutku. Niemcy strzelali na ślepo, ale z różnych stron. Był to nieomylny znak, że jesteśmy okrążeni.

Po południu partyzantka radziecka wycofała się na zachód, a mimo to słychać było strzały w głębi lasu i motory czołgów. Samolot także ostrzeliwał nasze oddziały i też bez skutku. Na 20 minut poszedłem do szefa „Granata”, bo mi się bardzo chciało jeść. Był to zbędny spacer, nie dostałem nic. Wracając dowiedziałem się, że czterech ludzi z piątej drużyny zdezerterowało, zabierając karabin maszynowy. Byli to: „Grab”, „Grom”, „Gil” i „Fajfer”. Natychmiast zameldowałem o tym dowódcy kompanii, ppor. Mollemu.

Tak, to smutna prawda. Nasi chłopcy byli załamani psychicznie. Ale to była moja osobista ocena. Ciągłe wycofywanie się, kiepskie odżywianie, brak koniecznej odzieży (kilku chodziło boso, w nocy nie mieli czym się przykryć) utrudniało utrzymanie dyscypliny.

Na placówkę przyszedł ppor. „Molli” i powiedział mi, że prawdopodobnie przed wieczorem nastąpi wymarsz. Dokąd? Nie wiedział.

Starszego strzelca „Granata” pochowano przy skrzyżowaniu dróg, w zacisznym miejscu, pod świerkami. Skromny krzyż brzozy i na nim napis zrobiony ołówkiem chemicznym: stopień, pseudonim, data śmierci. Nie pamiętam, czy napisano nazwisko. Zaraz po pogrzebie

zapytałem kaprała Mroza, czy czuje się na siłach, by w dalszym ciągu dowodzić drużyną.

Tak jest, panie ogniomistrzu! – zabrzmiała odpowiedź.

Od tej pory polubiłem go jak brata. Był wzorem dla innych i natchnieniem objął dowództwo nad drużyną. Obaj bracia byli bardzo smutni po stracie najmłodszego. Czy długo jeszcze będą razem?

O godzinie 18.00 nastąpił marsz w stronę poprzedniego obozu, bo tam miało nastąpić połączenie z pozostałymi oddziałami. Przed zwinieniem placówki, do plecaka schowałem nogę bydłącą i kawałek kości, a „Jawor” zabrał dwie nogi. O chlebie nawet mowy być nie mogło. Podczas zbiórki kompanii szef podzielił się ze mną niedopieczonym plackiem i to był mój całodzienny posiłek, bo mięso – osolone piaskiem – zbyt mocno trzeszczało w zębach. Młodszy twierdził, że piasek przeczyści kiszki i im nic nie zaszkodzi, a mięso jest miękkie. Zjedli go.

Jakąś okrężną drogą doszliśmy do swoich. Po upływie niecałej godziny maszerowaliśmy z powrotem. Na czele szedł kapitan Garda. Droga wiodła obok świeżej mogiły towarzysza broni, a więc jeszcze jedno pożegnalne spojrzenie, jeszcze jedno westchnienie do Boga, za duszę śp. starszego strzelca „Granata”. Spoczywaj w pokoju. Cześć Ci bohaterze! Smutna to rzeczywistość, ale – żywi z żywymi musieli iść. Nastąpiła zbiórka wszystkich oddziałów pułku, plus kompanii radzieckiej i marsz z nieznane.

Po przejściu około jednego kilometra nowej drogi, przed nami rozciągnął się prawdziwy Czar Polesia – bagna. Dobrze bagna. Zapadaliśmy się w nich do kolan, a czasami do pasa. Wtedy jeden drugiemu pomagał, jeden drugiego wyciągał i tak przebrnęliśmy około 5 kilometrów. (Kaprała „Siódmeo” przenieśli chłopcy z jego drużyny). W pewnej chwili wyczuliśmy twarde podłoże pod nogami i cichutko przeszliśmy kolejkę wąskotorową. A potem weszliśmy w nowe lasy, w nowe bagna. Z tego pierścienia wymknęliśmy się bez strat, ale byliśmy bardzo zmęczeni, a to dopiero dochodziła północ.

21 maja 1944 r. Niedziela.

Maszerowaliśmy do świtu. Byłem bardzo głodny i jeszcze bardziej zmęczony. Podobnie czuli się wszyscy żołnierze z mego plutonu. Nim pozwolono nam spocząć na mokrych kępkach, jakie nas otaczały dookoła, postanowiłem kilkadziesiąt słów napisać, zaraz po

ogłoszeniu dłuższego odpoczynku. Zapisalem. Gdzieś daleko za nami, z krótkimi przerwami, slychać bylo nawały ognia artyleryjskiego. Ten ogień kladziono w różnych miejscach Szackich Lasów. To Niemcy tak zawzięcie zaczęli niszczyć bandytów. Musieli mieć bardzo głupie miny, gdy się dowiedzieli, że tam od rana nie było ani jednego partyzanta. Na godzinę dziewiętnastą zapowiedziano gotowość do dalszego marszu. Mieliśmy przejść tor kolejowy Kowel – Brześć. Po zrobieniu tej krótkiej notatki, położyłem się spać.

Czas odpoczynku minął szybko i o naznaczonej godzinie pomaszzerowaliśmy dalej. Szło nam się znacznie lepiej niż wczoraj, bo na czele kolumny. Prowadził ppor. „Molli”. Ponieważ kapral „Siódmy” czuł się bardzo słabo i nie mógł iść o własnych siłach, do niesienia go wyznaczyłem ośmiu ludzi z jego drużyny. „Kaczor”, choć po siedmiu niedawno zagojonych ranach, czuł się na tyle dobrze, że mógł iść. Droga męcząca, mimo że bagno było względnie płytkie.

22 maja 1944 r. Poniedziałek.

Zaraz po północy, o mało nie zastrzeliłem jednego drania z szóstej drużyny, za pozostawienie kaprała „Siódmego” na bagnie. On i jego koledzy musieli się wrócić i przynieść drużynowego.

Na własną prośbę „Siódmego” i „Chomaja”, pozostawiliśmy ich w futorze Otdalejka (nie jestem pewny nazwy futoru). Podobno gospodarz, który przyjął rannych, dostał po dziesięć złotych za każdego i lufę pistoletu do powąchania, z zastrzeżeniem, że jeśli rannym stanie się jakaś krzywda, to on i cały futor usmażą się w ogniu. Taka relacja z tego wydarzenia otrzymałem od szefa i bardzo podobną od dowódcy kompanii. Chyba obaj nie fantazjowali. Smutne to, ale prawdziwe. Było mi żal kaprała „Siódmego” i młodego „Chomaja”. Może szczęśliwie doczekają końca wojny.

Po przerwie, jaka była konieczna do przyniesienia z bagna rannych i oddanie ich pod opiekę gospodarza, pomaszzerowaliśmy dalej. W pewnej chwili zostaliśmy ostrzelani z km, lecz pociski przelewały nad nami, co najmniej o metr za wysoko. Po rozwidnieniu się zarządzono odpoczynek z całodziennym postojem. W tym czasie nie szczególnego nie zaszło. A na noc znowu marsz. Muszę zaznaczyć, że wszystkie nocne marsze były bardzo uciążliwe, ale o wiele bezpieczniejsze. Ta noc była wyjątkowo ciemna i dlatego dla utrzymania łączności nakazano trzymanie się pasa swego poprzednika. Jesz-

cze przed północą straciliśmy łączność z maszerującymi przed nami i to nas zmusiło do zatrzymania się, na skraju lasu przed torem, a ja miałem wyjątkowego pecha, bo przewróciłem się na pniu i zgubiłem karabin, pękł pas, a idący przede mną, pociągnęli mnie za sobą. Karabin się znalazł. Kroki nasze głużyła wichura, a przechodziliśmy nie dalej jak 400 metrów od bunkrów niemieckich.

23 maja 1944 r. Wtorek.

Zaraz po północy przeszliśmy tor kolejowy Kowel - Brześć i po sformowaniu kolumny pomaszerowaliśmy dalej. Po raz drugi przeszliśmy kolejkę wąskotorową i wreszcie po całonocnej wędrówce zatrzymaliśmy się na odpoczynek z tym, że ognia nie było wolno palić. Na początku dnia mieliśmy fałszywy alarm, a po nim zupełnie dobre spanie na polance. Słońce nas ogrzewało. Przed wieczorem dalszy marsz, z założeniem przejścia szosy Kowel – Brześć. Droga ogromnie uciążliwa: na przemian bagno i droga polna, dukty leśne z wystającymi korzeniami itp. W lesie bardzo ciemno. Po straceniu styku z sąsiadem, łączyliśmy biegiem i wpadaliśmy jeden na drugiego. Taki rwany marsz szybko wyczerpywał siły. Jakiś Żyd odłączył się od kolumny marszowej i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy. Ppor. „Molli” wrócił się i uspokoił go.

24 maja 1944 r. Środa.

Koło północy przeszliśmy, a właściwie to przebiegliśmy przez jakąś długą wieś i szosę, zostawiając na niej porwane kable telefoniczne. Byliśmy solidnie zmęczeni. Po jakimś czasie znowu minęliśmy jakąś wioskę i przed nami wyłoniła się piękna droga (rozwidniało się) przez któreś z kolei bagno, długie do pięciu kilometrów. Kochane Polesie. W przyszłości miało być spichlerzem Europy. Po przejściu tego bagna ledwo poruszaliśmy nogami. Krótki odpoczynek i wschód słońca, a z nim jakoś lżej na duszy. Jeszcze pół godziny i weszliśmy w następne bagno, usiane setkami małych kępek. Kiedy zarządzono dłuższy odpoczynek, każdy z nas miał coś w rodzaju krzesła z oparciem. Za oparcie służyła sosenka wyrastająca ze środka kępki, wysoka do półtora metra, a za siedzisko, bujna i gęsta trawa obok sosenki. Słońce świeciło, zrobiło się bardzo ciepło.

Z ogromnym apetytem napiłem się śmietany, ale nie pamiętam, który strzelec był tak uprzejmy i podzielił się ze mną swoją zdobyczą. Prócz tego mieliśmy świeży chleb, słoninę i tytoń. Przy takim

zaopatrzeniu nic nam więcej nie było potrzeba, prócz snu i na tych kępkach spaliśmy w pozycji siedzącej z tym, że nogi prawie do kolan były w wodzie. Odpoczynek trwał do godziny siedemnastej. Bardziej wytrzymali wcześniej poszli zdobywać żywność. O godzinie osiemnastej wymaszerowaliśmy do celu. Tym razem drogę mieliśmy względnie dobrą. Po zachodzie słońca droga wiodła między uprawnymi polami, w powietrzu panowała zupełna cisza. Idąc, modliłem się o zachowanie moich najbliższych przy życiu. Czy się kiedyś jeszcze zobaczymy? Bóg to raczy wiedzieć. A kochany Władzio? Gdzie on teraz jest i czy jeszcze żyje? Już tylu zginęło. Boże, błogosław nam, byśmy zwyciężyli to plugastwo niemieckie.

25 maja 1944 r. Czwartek.

O świcie dobrnęliśmy do jakiegoś futoru. Byliśmy zmęczeni do tego stopnia, że po zatrzymaniu się, stojąc zasypialiśmy. Pamiętam, oparty na karabinie, w małym rozkroku, spałem. Wielu bezwiednie padało na ziemię. Nie do wiary, a jednak tak było.

Po oprzytomieniu porobiliśmy budy nakryte i wyścielone słomą. Mieliśmy w nich nocować i dopiero następnego dnia wieczorem maszerować do Prypeci. Nic nie wskazywało na zakłócenie nam spokoju, więc dopiero po przeczyszczeniu broni, podsuszeniu ubrania, koło godziny 12.00 położyłem się spać. Niestety, już po 13.00 z minutami byłem na nogach, bo blisko nas zagrały karabiny maszynowe. Z całym plutonem zostałem wysłany na placówkę i zmieniłem na niej Stanisława Jaworskiego. To właśnie on bił się z tymi Niemcami, którzy podeszli do nas i miał jednego rannego, „Forse” kaprała. Niemcy też oberwali, a o tym świadczyło dużo krwi na drodze i kilka silnie pokrwawionych bandaży.

Po rozstawieniu czujek i umówieniu znaków sygnalizacyjnych, siedziałem przy karabinie maszynowym. Od strzelca Lichockiego pożyczyłem książeczkę do nabożeństwa i odmówiłem litanię loretańską. Dużo chłopców klęcząc modliło się. Dzień był pogodny, dukały komary.

Strzelec „Piorun” dostarczył nam chleb.

O godzinie osiemnastej nastąpił wymarsz i nic z naszego odpoczynku, z naszych wygodnych bud. Zarządzono jak najcichszy marsz, by się niczym nie zdradzić, bo byliśmy w pasie przyfrontowym.

W zapasie mieliśmy trochę lepszego żarcia, a to w naszych warunkach oznaczało bardzo dużo.

26 maja 1944 r. Piątek.

Drogę mieliśmy możliwą i ze świtem zamarliśmy w bezruchu. Tym razem kpt. „Garda” wydał surowy rozkaz, że kto oddali się od obozu dalej jak 500 metrów, lub wyjdzie poza granice lasu, ten tym samym wyda na siebie wyrok śmierci. Podobno niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż znajdowaliśmy się w zasięgu ognia niemieckiej artylerii i to kilku baterii.

Zaczął padać drobny deszcz. Położyliśmy się spać: ja, „Jawor” i „Cis” pod jednym drzewem, a pod drugim: „Granat”, „Molli” i „Poziomka”. Przeważnie pod każdym większym drzewem położyło się trzech, czterech a nawet pięciu partyzantów. Nam płachty namiotowe bardzo się przydały, szkoda, że nie było ich więcej, chociaż jedna na trzech. Obudziłem się o godzinie 8.00, czyli spałem niecałe cztery godziny. Półgłosem pobudziliśmy żołnierzy plutonów i zjedliśmy śniadanie. To na wszelki przypadek, bo przecież mógł być zarządzony alarm i natychmiastowy wymarsz. Śniadanie było skromne w ogóle, a wspaniałe w szczególe. „Haber” częstował słoniną za chleb, „Sroka” chlebem, a ja od wczoraj miałem doskonały smalec ze skwarkami. Po brakach w Lasach Szackich były to rarytasy.

Syci, poprawiliśmy legowiska i po raz drugi położyliśmy się spać, by odpocząć ile się da, ile będzie można.

Koło godziny 14.00 nikt już nie spał.

Siedziałem pod drzewem i słuchałem opowiadań o snach. Bracia Jaworscy opowiadali sobie, co któremu i jak się śniło. Stanisława wołała matka i siostra, a on maszerował ze swym plutonem, ulicą Owadeńską.

Stasiu, wróć się! Dosyć tej wojaczki. Słyszysz, wracaj do dzieci.

Młodszemu śniła się żona (zamordowali ją banderowcy w Janowej Dolinie koło Łucka) i dzieci. Wołały go, by wrócił do nich (zostały u babci we Włodzimierzu).

Oj, chyba będzie z nimi źle – pomyślałem, ale myśli tych przed nikim nie zdradziłem. Ogólny nastrój wśród żołnierzy możliwy. Wielu miało miny zgaszone, poważne. Ppor. „Molli” trzymał się dobrze, ale za to st. ogn. „Granat” nie wierzył w szczęśliwe przejście i bardzo przejął się snem, a śniło mu się, że wczoraj, podczas bom-

bardowania, stracił córkę. Już po wojnie okazało się, że ten sen był proroczy, bo faktycznie odłamek bomby zabił mu córkę. Jeśli się nie mylę to w Chelmie. „Poziomka” całkowicie zdała się na wolę Bożą. „Kaczor” stracił humor, a brat „Mroza, „Chrobry” zdradzał wewnętrzny niepokój.

W pewnej chwili podszedłem do „Granata” i rzekłem. – Kaziu, bądź dobrej myśli. Do tej pory sprzyjało nam szczęście, to i dalej sprzyjać będzie. Nie przejmuj się tym przykrym snem. Głowa do góry.

Nie, Jasiu! Mam złe przeczucie, mnie się ... Ale – tu machnął niedbale ręką – co ma być to będzie. Życzę ci, żebyś ty przeszedł cało.

Wzajemnie. Nie trać wiary.

Wszyscy wiedzieli, że tej nocy będziemy przechodzić front. CO do mnie to byłem całkiem spokojny, bo przyszedł mi na myśl sen z października 1939 roku, a przetłumaczyłem go sobie jako wróżbę szczęśliwego przetrwania wojny i myślałem nie tylko o samym przejściu, ile o tym, jak to będzie na drugiej stronie, u naszych – przyjaciół. Wieści były różne i sprzeczne.

Po południu, koło godziny 16.00 byłem świadkiem rozmowy kpt. „Gardy” z oficerem Czerwonej Armii i przewodnikiem. Omawiano miejsce przejścia przez Prypeć i ustalano kolor rakiet sygnalizacyjnych. Nasze rakiety miały być sygnałem dla wojsk radzieckich, do otworzenia ognia na stanowiska niemieckie, a my w tym czasie mieliśmy jak najszybciej sforsować rzekę. Z odpowiedzi oficera radzieckiego wynikało, że przejście przez front nie powinno natrafić na duże trudności. Oprócz mnie świadkami tej rozmowy byli: ppor. „Molli”, st. ogn. „Granat”, sierżant „Zefir” i inni.

Zbliżał się wieczór. Zarządzono przygotowanie do marszu. Sprawdzano stany osobowe. Mój pluton liczył 31, a „Maja” – 34 partyzantów. Dla skrócenia kolumny sformowano ósemki.

Co Bóg da, to będzie. Ruszyliśmy cichutko. Tym razem moja kompania maszerowała na końcu kolumny i miała zadanie: uderzyć na Niemców jeśli oddziały maszerujące w przedzie dostaną ognia.

Ściszonym głosem przypominałem swoim żołnierzynom, co i który ma robić w razie zaskoczenia. Jednego bardzo się bałem – by nie zostać rannym. Dla siebie pozostawiłem jeden granat zaczepny,

jajowy i nosiłem go w prawej kieszeni spodni. Oprócz tego miałem belgijski pistolet, z magazynkiem piętnastonabojowym i luzem w kieszeniach 43 naboje do niego. Po dwudziestu minutach marszu mijaliśmy jakąś wioskę, w której nasi partyzanci zaopatrywali się w żywność. Robili to sprytnie i cicho. Zaraz za wioską, na łące, dostałem kawałek słoniny wędzonej, tak miękkiej jak masło i kawał świeżego chleba. Ogólnie czułem się dobrze i pewny byłem pomyślnej przeprawy na prawy brzeg Prypeci.

Na łąkach zaczęli nas macać, ale bez skutku. Rakietami nie mogli nas oświetlić na tyle, by móc widzieć nasz ruch i kierunek marszu, raczej tylko słyszeli tupot nóg, który choć tłumiony miękkim podłożem, dał się słyszeć z powodu dość miarowego kroku.

W pewnej chwili weszliśmy na jakąś szeroką drogę i przechodziliśmy ją w dwu kierunkach po to, by wprowadzić Niemców w błąd, co do właściwego kierunku marszu. Nie wiem, kto Niemców uważał za tak naiwnych. Strzały umilkły. Prawdopodobnie były one sygnałem ostrzegawczym dla innych oddziałów niemieckich, stojących w tym rejonie.

27 maja 1944 r. Krwawa sobota.

Było parę minut po północy. W umówionym miejscu nie spotkałiśmy – rozwiedki. Kapitan „Garda” zaczął się denerwować, co ujemnie wpływało na najbliższe otoczenie. W miejscu gdzie miała nas czekać zasadzka – spokój. Wszelkie rozkazy i meldunki w kolumnie były podawane półgłosem. Noc trochę jaśniejsza od poprzedniej, pozwalała na swobodniejszy marsz. Ppor. „Molli” kontrolując marsz plutonów powiedział do mnie.

„Trzyjot”, jak do tej pory wszystko w porządku, ale dalej może być ciepło. Trzymaj się bracie.

Wzajemnie – odpowiedziałem i zacząłem szeptem rozmawiać z najbliższymi żołnierzami. Już po raz drugi natchnąłem się na kabel telefoniczny, rozciągnięty na ziemi i zameldowałem dowódcy. Nie kazano go niszczyć, by nie zdradzić naszej obecności na tyłach Niemców. Na piaszczystej drodze widać było świeże ślady kół, armat średniego kalibru. Naprawdę może być nam bardzo ciepło – pomyślałem i starałem się odgadnąć kaliber dział. Za chwilę znowu pod nogami wyczułem kable, a to wskazywało na bliskość frontu.

Weszliśmy w jakąś dukłę, a w niej błota do diabła i trochę. Koło mnie maszerował kapral „Mróz”, z którym rozmawiałem ściszone głosem, prawie szeptem. Między żołnierzami krążyły różne pytania, a wszyscy, jak nigdy dotąd, zachowywali powagę. Zapytałem dowódcę, jak jeszcze daleko do rzeki.

Jeszcze dwa, do trzech kilometrów – a do ucha dodał – może być źle, bo nigdzie nie ma łączników, którzy mieli uprzedzić sowietów o naszym nadejściu. Mogą zacząć do nas walić i tego samego zdania jest kpt. „Garda”.

No, a rakiety? – zapytałem.

Są umówione. Miejsce spodziewanej zasadzki mineliśmy. Teraz możemy dostać ognia tylko nad brzegiem rzeki.

Mimo woli nasunęło się pytanie – ilu z nas zginie? Ot, żołnierska dola. Na chwilę do mego serca wkradł się smutek, lecz odpędziłem go chęcią życia i czynu. Tak, komu sądzone, ten dzisiaj odejdzie na zawsze. Z plutonowym „Jaworem” umówiłem się, że w razie gdybym został zabity, miał zabrać mój pamiętnik i oddać go żonie. O to samo poprosiłem „Granata” i „Dzika”. Wszyscy przyrzekli spełnić moją prośbę.

Już się rozwidniało. Las stawał się coraz rzadszy. Weszliśmy w niewielkie bagno, w którym woda była wyjątkowo płytka – sięgała do kostek. Z chlupotu wody pod nogami powstał dość głośny szum i nagle ...

Trr, trr, trr, trr – zagrał karabin maszynowy na prawo od nas.

W lewo, rojem marsz! – rozkaz dowódcy. Pobiegliśmy w nakazanym kierunku i wypadliśmy na łąkę równą jak stół. W oddali widać było rzekę. Karabiny maszynowe grają. Idziemy. Nagle przed nami kanał. Bez namysłu skaczą do niego. Woda do piersi. Brr, jak nieprzyjemnie, zimno.

Ręczne karabiny maszynowe na stanowiska! Zajmować stanowiska do obrony!

Powtarzam te rozkazy. Niestety, nikt ich nie słucha. Większą ilość żołnierzy ogarnęła panika, a przed nami druga przeszkoda, drugi kanał. Wszedłem do niego i ugrzęzłem w mule. Ktoś mi pomógł wygramolić się z tej pułapki. Widzę, jak wielu na oślep biegnie w kierunku rzeki.

Zatrzymać się, nie uciekać! – ryczałem jak mogłem najgłośniejsz, lecz był to głos wołającego na pustyni. Nie poznawałem swoich ludzi. Przy mnie pozostało zaledwie kilku i z nimi wpadłem do bunkrów, ale w nich już Niemców nie było. W pierwszym została podstawa do ckm i aparat telefoniczny. Kazałem zniszczyć. „Mróz” pobiegł do drugiego – też był pusty. Którędy zwiali Niemcy? Nie miałem czasu na rozmyślania, bo o to przed nami wyłoniła się inna przeszkoda – zaporą z drutów kolczastych. W tym miejscu i teren nie był taki równy, jak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Zauważyłem jak ppor. pomagał „Poziomce” przejść przez nią, a ona krzyczała, by to zrobił prędzej, bo się zaczepiła. Uspokoił ją i z kolei pomógł jakiemuś żołnierzowi, wreszcie przeszedł sam i pobiegł za innymi. Porzucony karabin położyłem na częściowo porwane druty i po nim przeszedłem na drugą stronę, a właściwie to zeskoczyłem. Nie ważne.

Pomału doszedłem do rzeki, a tam – Sodoma i Gomora. Ze wszystkich stron słyszałem nawoływania: Franek, Janek, Bolek. Popatrzyłem w obie strony i zauważyłem. Jeden rozebrał się i płynął do drugiego brzegu, drugi w ubraniu skoczył do wody, jeszcze inny topił się i rozpaczliwie wzywał pomocy, z którą nikt się nie spieszył. Egoizm zagrał pierwsze skrzypce, a na dodatek odezwały się niemieckie moździerze. W pierwszej chwili pociski padały daleko za nami. Nadbiegł kapitan „Garda” i rzekł do mnie i do „Modrzewia”.

Szykujcie linę z pasów! Przy jej pomocy będę przeprowadzał nieumiejących pływać. Szybko! – to mówiąc oddał swój pas, oprócz tego mnie torbę polową, pistolet i lornetkę, a następnie rozebrał się do naga.

Pierwszy człon liny to pas kapitana, drugi sierżanta „Modrzewia”, trzeci mój, a potem innych żołnierzy, którzy w tym czasie byli blisko nas. Nie minęło więcej jak trzy minuty i lina była gotowa. W tym czasie nadbiegł sierżant „Zefir” i kapitan kazał mu wystrzelić niebieską rakietę, a sam wziął do ręki początek liny i wszedł do wody.

„Modrzew”, nic z tego nie będzie, bo pasy nie wytrzymają. Patrz, za dużo na raz czepia się liny.

Lepiej żeby wytrzymały, bo jak nie, to tym w ubraniach koniec.

Prypeć w tym miejscu miała około 50 metrów szerokości i była głęboka. W pewnej chwili spojrzałem poza drugi brzeg rzeki i skóra mi ścierpła, bo ci co szczęśliwie przepłynęli, teraz wylatywali w

powietrze na minach sowieckich. Ten obrazek zauważony przez przeprawiających się, powiększył panikę, której już nikt nie był w stanie opanować.

Leżałem nad brzegiem i obserwowałem przeprawę. Już pierwsi minęli pół szerokości. Kapitan z wody wołał, by reszta poszła na kładkę. Nie słuchali, a tymczasem przeprawiający się mieli do drugiego brzegu może 15 metrów i kraksa! Lina pękła i kilkunastu ludzi skryło się pod wodą. To smutne, ale prawdziwe.

Nie ma dumnych! Rozbierał się nie będę, bo kto mnie ubierze po drugiej stronie? Tak pomyślałem i postanowiłem, że jeśli nie będę mógł przejść przez kładkę, to do wieczora posiedzę w krzakach i dopiero w nocy spróbuje szczęścia.

„Zefir” wystrzelił niebieską rakietę (innych nie miał), która po woli spadła na stronie radzieckiej. Tymczasem Niemcy naboi moździerzowych nie żałowali.. Pociski padały ze wszystkich stron. Zabrałem kapitana torbę z mapami, lornetkę, pistolet i wolno ruszyłem brzegiem rzeki. Zdążyłem zrobić zaledwie kilkanaście kroków, gdy, o zgrozo. Seria ze strony radzieckiej zatrzymała mnie w miejscu, a dłuższa położyła na ziemi. Blisko pękł granat, a po drugiej stronie wybuchwały miny, padali zabici i ranni.

Zerwałem się i wyciągnąłem na brzeg topiącego się. Serdecznie mi podziękował. Za chwilę pomagałem wyciągnąć Tadzia Bebaka, potem ukląknę przy nim i sprawdziłem, czy nie został ponownie ranny. Świeżej rany nie stwierdziłem, lecz ogromne zmęczenie. W krótkim czasie otworzył przytomne oczy, więc kazałem mu odpocząć i dopiero potem iść do kładki. Pokazałem kierunek. Kiwnął głową na znak zrozumienia. Odszedłem. Na lewo ode mnie leżało dwóch zabitych. Ze strony radzieckiej też nie żałowano amunicji, musiałem paść na ziemię. Leżąc usłyszałem za sobą bieg, potem ktoś chwycił mnie za ramię i zapytał.

Panie „Trzyjot”, umie pan pływać?

Tak, ale po siekiersku do dna – odpowiedziałem.

To Wanda, a z nią jeszcze dwie sanitariuszki pobiegły w stronę kładki, błyskając gołymi tyłkami. Śmieszne. Chlebak z amunicją, jako zbędny balast, rzuciłem do wody, po chwili to samo zrobiłem z plecakiem, a w nim były moje różne osobiste rzeczy i około 80 naboju do karabinu.

Wstałem i pomału ruszyłem z miejsca. Powtórzyła się scena z poprzednich prób marszu, bo znowu nowa seria z ckm radzieckiego przykuła mnie do ziemi. Obok głowy (10-12 cm) było świeże kretowisko i widziałem jak pociski roznoszą go na wszystkie strony. Gorące ciarki przeszły mi po krzyżu. Jak celowniczy ruszy o dwa milimetry tyłce w prawo, będę miał czerep rozbity na kawałki. Tak zdążyłem pomyśleć, ale na moje szczęście celowniczy przerwał ogień. Napędził mi strachu co niemiara. Aby uniknąć podobnej sytuacji, zacząłem się czołgać przez ostrzeliwane pole. Za moim przykładem poszli inni, ale jednemu z nich bardzo się śpieszyło, poderwał się do biegu – i natychmiast pobiegł na tamten świat. Padł z przestrzeloną głową na wylot. Był to ppor. „Samson”.

Nie wiedziałem, co spowodowało nagle wstrzymanie ognia ze strony radzieckiej. Dowiedziałem się w kilka dni później. Otóż szer. Litwinow przepłynął rzekę, szczęśliwie przeszedł pole zaminowane i przemówił do nich ruską łaciną, tłumacząc jednocześnie kim my jesteśmy. Pomogło. Dość, że przestali strzelać. Poszedłem więc śmiało, gdyż Niemcy ogień z moździerzy i armat przenieśli za rzekę. Jeszcze Kilkanaście kroków i zobaczyłem kładkę nad kanałem, nie szerszym jak 5-6 metrów. Wszedłem na nią, a tu znowu krótka seria z ckm radzieckiego. Do kogo? Obejrzałem się. Za mną nikt nie szedł! A może to do mnie? Miałem na sobie niemiecką płachtę namiotową. Z kładki zobaczyłem właściwą Prypeć i przeszedłem ją dosłownie sześcioma krokami, z czystą woda ponad pas głęboką. Czyż to nie ironia losu?!

Po drugiej stronie rzeki leżał ranny ppor. „Ćwik”, dowódca baonu. Podszedłem do niego, by mu pomóc, lecz on z mej pomocy zrezygnował i zapewnił mnie, że sam sobie da radę, tylko trochę odpocznie. Wskazał mi ranną kobietę mówiąc.

Z kijem dojdę do okopów radzieckich, a jej koniecznie daj pomoc.

Rozkaz, panie poruczniku.

Ranna w obie nogi miała pseudonim „Rosa”, albo była żoną „Rosy”. (Tego nie wyjaśniałem do dnia dzisiejszego). Podszedłem do niej i stwierdziłem, że iść nie będzie mogła, on zaś stał przy niej jakiś bezradny. „Poziomce”, która się tu wcześniej znalazła, oddałem pistolet kapitana, lornetkę i płachtę namiotową. Przy tej okazji

stwierdziłem w niej 5 dziur. A więc na kładce to do mnie strzelał towarzysz. Ćwierć sekundy wcześniej i byłyby drzazgi z mego kręgosłupa. ale i tym razem Bozia powiedziała – nie tróń!

W pierwszej chwili ranna prosiła, by ją dobić, że nie wytrzymała bólu, to znowu za chwilę, by ją zostawić. Ani jedno, ani drugie.

Kobieto, będziesz zdrowa jak ryba. Tylko trochę wiary i cierpliwości – a do niego. Robimy siodełko i powoli niesiemy. Kłaść ją będziemy tylko na mój rozkaz – padnij. Zrozumiano?

Tak jest, ale ja też jestem ranny – odpowiedział zalekniony.

Nie widzę tego, Dawaj ręce!

Zrobiliśmy siodełko, na nim ostrożnie usiadła ranna i powoli pomaszerowaliśmy do okopów radzieckich. Raz zatrzymaliśmy się dla odpoczynku, drugi raz, gdy nadlatywał pocisk. Wybuch pocisku lekko obsypał nas ziemią. Ranna zaczęła wierzyć w skuteczną pomoc. W pierwszym okopie radzieckim odpoczęliśmy z 10 minut. Oddarłem z koszuli rannej cały dół i nim zabandażowałem najbardziej krwawiącą ranę w udzie.

Do piersi byłem zmoczony i zaczynało mi być zimno. Dowiedziałem się, że „Szampucki” ranny, brat „Poziomki” też. Po odpoczynku zabraliśmy ranną i doszliśmy z nią do pierwszych bunkrów, gdzie ją i jego zatrzymano do opatrunku. Mnie zaś, jako zdrowemu, kazano iść dalej, wskazując kierunek marszu. Niemcy cały czas ostrzeliwali teren na stronie radzieckiej.

Żołnierze radzieccy powiedzieli mi, że od trzech miesięcy cichy front ożył i to dzięki nam. Otrzymałem od nich pół kieszeni kuryszki i kilkanaście kostek cukru. Do kuryszki „gazietę i spiczki”. Uprzejmie podziękowałem za te dary i poszedłem wskazaną drogą.

W punkcie opatrunkowym zastałem st. ogn. „Granata”, rannego w nogę i w bok. Byli tam również: sierżant „Dzik”, plut. „Cis”, ppor. „Ćwik” i „Kostek”. Dowódca kompanii nagi ale zdrowy, kapral „Strzał” też nagi i wielu innych.

Broń kazano nam złożyć na kupę. Oddałem granat jaki nosiłem w kieszeni, a kiedy kładłem „belgijkę”, jakiś starszyna rzucił swój nagan i natychmiast chwycił pistolet. „Poziomce” zabrano pistolet kapitana oraz lornetkę. Płachtą namiotową nakryła małego „Zucha”, który był ranny w nogi, ręce i głowę. Żałowałem go bardzo.

Dziwne, ale kapitana „Gardy” nikt po tej stronie Prypeci nie widział, a przecież rzekę przepłynął, pomógł kilku żołnierzom wyjść na brzeg i szczęśliwie przeszedł pole zaminowane. Co się z nim mogło stać?

Porucznik „Zajac” dobrał sobie kilku zdrowych żołnierzy i z nimi miał iść po rannych.

Wziąłem „Granata” pod rękę i pomału poszliśmy w kierunku szpitala. Po przejściu około jednego kilometra, „Granata” zabrali na wóz i do szpitala. Życzyłem mu szybkiego powrotu do zdrowia, a on mnie dalszego powodzenia. Zimno mną trzęsło. Nawet wszy musiały zmarznąć, bo nie gryzły.

Po przejściu rzeki zorientowałem się, że z plecakiem poszedł na dno mój pamiętnik, fotografie i trochę dokumentów. Nie mogłem odżalować tego gapiostwa. Trudno, stało się. Postanowiłem go odtworzyć. Na miejscu zbiórki rozpaliliśmy ogniska i suszyliśmy się. Między chłopcami krążyły opowiadania o doznanych wrażeniach, przeważnie tragicznych. Ppor. „Molli” w pelerynie radzieckiej wyglądał jak ksiądz.

Kapral „Mróz” stracił drugiego brata, „Chrobrego” – utopił się. Śmierć miała swoje żniwo i tak: ppor. „Samson” zabity, podporucznicy: „Piotrus”, „Czech”, „Czesław” – potopili się. Plutonowy „Jawor” ciężko ranny.

Przed odmarszem do kwatery było nas z całej kompanii, z dowódcą i sanitariuszką – 30 osób, a brakowało 49. Ilu z nich zostało zabitych, a ilu rannych, wtedy nie wiedzieliśmy.

Zakwaterowano nas w futorze – Wielki Las – u Mojsieja Karolika. Jeść dostaliśmy dopiero wieczorem, a byliśmy głodni jak wilki.

Co mi osobiście najbardziej dokuczało? Odparzone nogi i wszy! Na nogi otrzymałem odpowiednie opatrunki, na wszy – nic.

Porucznik „Zajac” objął dowództwo nad całością, bo kapitana „Gardy” nie było. Nie było wtedy, nie było później i nie znaleziono jego zwłok. (?)

Ta krwawa sobota pamiętna będzie dla mnie do końca życia. Była to bowiem dwudziesta piąta rocznica śmierci Ojca i śmierci tylu Kolegów nad Prypecią. Znużeni fizycznie, przygnębieni moralnie, położyliśmy się spać. Co nam przyniesie jutro?

d.c.n.

* * *

**PROTEST W SPRAWIE ZAMIERZONEGO PRZYZNANIA
UPRAWNIEN KOMBATANCKICH CZŁONKOM OUN I UPA
PODJĘTY NA XXII OGÓLNOPOLSKIM ZJEŹDZIE
ŻOŁNIERZY 27 WDP AK**

Pan Aleksander Kwaśniewski
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Warszawa

Panie Prezydencie!

Kombatanci, uczestnicy XXII Ogólnopolskiego Zjazdu żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, zwracają się do najwyższych władz Polski o wniesienie protestu w sprawie zamierzonego przyznania uprawnień kombatanckich członkom Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz członkom dywizji SS „Galizien”.

W czasie drugiej wojny światowej ludność polska Wołynia, doznała niebывałych w cywilizowanym świecie okrucieństw ze strony OUN i UPA, które z całą bezwzględnością dokonały eksterminacji ludności polskiej. Były to masowe akcje zaplanowane, zorganizowane i przeprowadzone zgodnie z dyrektywami kierownictwa OUN, mające charakter ludobójstwa. Jesteśmy żyjącymi świadkami tych zbrodni, które miały na celu całkowitą likwidację fizyczną ludności polskiej na Wołyniu.

Zbrodnicza działalność OUN i UPA przyniosła wiele ofiar ludzkich i zniszczeń. W toku śledztw przeprowadzonych przez Główną Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu ustalono, że w 932 miejscowościach ofiarami eksterminacji padło około 40 tysięcy Polaków. Podjęta przez historyków polskich i ukraińskich próba oszacowania strat ludności Wołynia w ramach seminariów „Polska – Ukraina: trudne pytania” w latach 1996-2001 pozwala przyjąć, że w wyniku czystki etnicznej przeprowadzonej przez bojówki OUN i oddziały UPA zginęło około 60 tysięcy Polaków.

Zbrodnicza działalność nacjonalistów ukraińskich zmierzająca do usunięcia śladów obecności polskiej na Wołyniu przyniosła także ogromne straty materialne. Z ogólnej liczby 1145 osiedli z przewagą polskich mieszkańców, liczących w sumie 31 tysięcy zagród, zniszczonych zostało na Wołyniu przez OUN i UPA 1055 osiedli z 27360 zagrodami, a z istniejących 252 kościołów i kaplic zniszczono 103.

Wszystkie podane dane mają uzasadnienie w licznych dokumentach archiwalnych polskich, rosyjskich, niemieckich i ukraińskich. Obarczają one jednoznacznie OUN i UPA winą za masowe rzezie bezbronnej ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Była to świadoma decyzja kierownictwa OUN i UPA, wynikająca z przyjętej jeszcze przed wojną ideologii radykalnego ukraińskiego nacjonalizmu D. Doncowa, mającego znamiona faszyzmu.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że decyzja o przyznaniu uprawnień kombatanckich członkom OUN i UPA jest wewnętrzną sprawą państwa Ukraińskiego. Ale obowiązkiem naszym jest zwrócenie uwagi na daleko idące negatywne skutki takiej decyzji dla Ukrainy i dobrosąsiedzkich stosunków między naszymi narodami. Przyznanie uprawnień nie poprawi wizerunku Ukraińca z lat wojny, nie zbliży nasze narody, co jest potrzebne dla rozwoju naszych krajów w łączącej się Europie. Dla nas Polaków, ciężko doświadczonych w latach drugiej wojny światowej, OUN i UPA pozostaną symbolem ludobójstwa, grabieży i pożogi. Z tych względów zwracamy się do Pana, Panie Prezydenci o podjęcie odpowiednich działań w tej tak ważnej dla obu naszych narodów sprawie.

Z wyrazami głębokiego szacunku
z upoważnienia i w imieniu uczestników Zjazdu

Andrzej Żupański
prezes

* * *

**POŚWIĘCENIE POMNIKA NAD RZEKĄ PRYPEĆ
– W 58 ROCZNICĘ 27.05.2002 PRZEBICIA SIĘ PRZEZ
FRONT NIEMIECKI „OSNOWY” 27 WOŁYŃSKIEJ
DYWIZJI PIECHOTY ARMII KRAJOWEJ**

27 maja 2002 r. nad brzegiem rzeki Prypeć, koło jeziora Strybuż na Ukrainie odbyła się uroczystość poświęcenia krzyża pamiątkowego sfinansowanego ze składek żołnierzy Armii Krajowej i dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa poległym w czasie przebijania się przez front niemiecki w dniu 27.05.1944 r. żołnierzy zgrupowania „Osnowy” 27 WDP AK.

Po uzgodnieniu z miejscową władzą ukraińską, środowiska akowskie z Warszawy i Lublina zorganizowały wyjazd kombatanatów z rodzinami 3-ma autokarami w ilości 125 osób. Nocleg i posiłki w m. Kowel. Inicjatorem i organizatorem uroczystości ze strony 27 WDP AK był Leon Karłowicz „Rydz”. Przewodniczący Środowiska Lubelskiego. W uroczystości wzięli udział z Zarządu Okręgu Wołyńskiego ŚŻŻAK: Andrzej Żupański, Stanisław Maślanka, Edmund Bakuniak.

Na uroczystość poświęcenia Krzyża przybyli: Naczelnik Rejonu, oraz dwóch wiceprzewodniczących, 3 księży i zakonnik z Kowla, pop z miejscowej cerkwi prawosławnej, chór z Łucka, chór z Równego i około 250 Ukraińców z okolicznych miejscowości. Przyjechali samochodami, konnymi wozami, a wśród nich były starsze osoby oraz młodzież.

Autokarami można było dojechać tylko do wsi. Do ustawionego na kopcu krzyża nad rzeką Prypeć należało dojść, lub dojechać furmankami i samochodami terenowymi, którymi przewożono osoby starsze, słabo chodzące. Uroczystości towarzyszyła podniosła atmosfera i życzliwość miejscowej ludności. Starsi ludzie pamiętali poległych, leżących na łące po jednej i drugiej stronie rzeki – żołnierzy „Gardy”. Nikt nie grzcbał ciał. Pozostali na zawsze tam gdzie polegli. Gdy kosiarze kosili łąkę natrafiali kosami na kości poległych żołnierzy, zbierali te kości i wrzucali do rowów, by nie przeszkadzały w koszeniu.

Pomnik – krzyż poświęcony jest żołnierzom łucko – włodzimierskiego zgrupowania „Osnowa”, 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, dowodzonej przez kpt. „Gardę” Kazimierza Rzaniaka, którzy oddali swoje młode życie w walce o wolność Ojczyzny.

Zgrupowanie liczyło około 650 żołnierzy. Podczas przebijania się przez front poległo około 150, zostało rannych 123, zaginionych około 40. Część żołnierzy pochłonęła rzeka Prypeć, część rozerwały pociski artyleryjskie i dosięgły kule karabinowe niemieckie i sowieckie. Wysyłane patrole nie zdołały uprzedzić dowódców rosyjskich, dlatego sowieci sądząc, że to „germańcy”, otworzyli do nas ogień z broni maszynowej i artylerii. Ja krzyczałem „Nie strzelajcie – eto my polskije i sowietskije partizany”. Kpt. „Garda” widząc mnie biegnącego z RKM-em do rzeki zatrzymał – „gdzie lecisz, widzisz szwabów, wal z RKM-u” wskazując ręką gdzie są Niemcy. Otworzyłem do zaległych na łące Niemców ogień, którzy obserwując nas prowadzili ogień z broni ręcznej i maszynowej od strony lasu i jeziora Strybuż. Następnie kpt. „Garda” z zebranymi pasami od żołnierzy przepłynął na przeciwległy brzeg rz. Prypeci. Przecignięte pasy przywiązał do drzewka i rozkazał: pojedynczo przepływać trzymając się pasów. Na skutek silnego ognia zdesperowani żołnierze gromadnie rzucili się na pasy, chociaż kpt. „Garda” krzyczał „pojedynczo”, ale wszyscy pragnęli znaleźć się na drugim brzegu. Wybuchaly w rzece pociski artyleryjskie. Dużego obciążenia nie wytrzymały pasy – widziałem kolegów nie umiejących pływać, którzy tonęli w nurcie rzeki. Około 130 rannych odesłano do szpitali w Kamieniu Koszyrskim, Rostowie nad Donem. Nie o wszystkich rannych wiedzieliśmy, nie byli ujęci w spisach, na przykład Wincenty Gąsiorowski, który na polu minowym po stronie sowieckiej stracił obie nogi. Po wojnie w 1947 r. spotkałem się z Wincentym Gąsiorowskim w Zamościu był bez obu nóg. Po kpt. „Gardzie” którego widziałem po stronie sowieckiej słuch zaginał. Ratowałem Irenę Barańską „Pijawka”, Zbigniewa Barańskiego „Zawisza”, Władysława Woźnicę „Żeglarza” i innych. Koleżankom rannym pomogłem wejść na podwodę konną. Z wiązanek kwiatów, którą witały nas ukraińskie dziewczynki na moście na Prypeci urwałem jeden kwiatek i przywiozłem go do Zamościa. Następnego dnia wziąłem ten kwiatusek, z innymi kwiatami oraz pęczek lepiechy, który również przywiozłem z nad Prypeci za-

niosłem na groby – Wincentego Gąsiorowskiego i Józia Pilczuka. Niech i Oni mają coś z nad Prypeci na swoich grobach.

Po kpt. „Gardzie” Kazimierzu Rzaniaku, który zginął po stronie sowieckiej dowództwo „Osnowy” objął por. Zygmunt Górka – Grabowski ps. „Zając”. Podczas rozmów z gen. Zygmuntem Berlingiem uzgodniono, że wступujemy w szeregi I Armii WP. W m. Kiwerce 337 żołnierzy „Osnowy” w dniu 29.06.1944 r. złożyło uroczystą przysięgę wojskową, po której otrzymując przydziały do poszczególnych jednostek wojskowych ruszyli na front. Brali udział w walkach nad rz. Wisłą – np. por. Zygmunt Górka – Grabowski na czele batalionu 5 pp sforsował rz. Wisłę w rejonie Puław, gdzie został ciężko ranny. Gen. Z. Berling obserwując natarcie awansował por. Z. Górkę – Grabowskiego do stopnia kapitana, przyznając na polu bitwy Order Krzyża Virtuti Militari. Wielu żołnierzy „Osnowy” wyróżniło się w walkach na Wale Pomorskim, pod Kołobrzegiem, Szczecinem, nad rz. Odrą, pod Budziszynem i Dreznem, nad rz. Nysą Łużycką i w zdobyciu Berlina.

Dzisiaj po 58 latach jako żołnierz – erkaemista 2 kompanii I/23 pp 27 WDP AK chylę czoło przed poległymi oficerami, podoficerami, kolegami za ich bohaterstwo wykazane w walce z wrogami naszej Ojczyzny i zarazem wyrażam słowa uznania i podziękowania tym kolegom, którzy przyczynili się do postawienia i poświęcenia Pomnika nad rzeką Prypeć.

W uroczystości wzięli udział żyjący żołnierze tamtego tragicznego przebijania się przez front oraz przeprawę przez Prypeć: Zygmunt Maguza „Waleczny”, Halina Górka – Grabowska „Katarzynka”, Zofia Armatyńska „Rusałka”, Ryszard Siennicki „Ryś”, Tadeusz Łabanowski „Iskra”, Stanisław Piwkowski „Wrzos”, Władysław Woźnica „Żeglarz”, Zbigniew Jarczewski „Zbych”, Jan Wereszczyński „Maj”, Kazimierz Mojak, Kazimierz Lachiewicz, Bolesław Garczyński, Czesław Życzka, Władysław Góra „Oktawian”, Leon Parysiewicz „Dzwon”.



Fotografia z uroczystości poświęcenie Pomnika nad rzeką Prypeć w 58 rocznicę przeprawy, przebijania się przez front niemiecki pułkowego zgrupowania „Osnowy” kpt. „Gardy” 27 WDP AK. Na zdjęciu widoczni są uczestnicy tragicznej przeprawy, która pochłonęła ponad 130 żołnierzy i ponad dwukrotnie więcej rannych i zaginionych.

* * *

Przedruk z gazety - Polska Zbrojna w numerze z dnia 9 czerwca 2002 roku zamieściła krótką informację o uroczystości nad brzegiem Prypeci;

Nad brzegiem Prypeci w pobliżu jeziora Strybuż a Ukrainie stanął krzyż upamiętniający heroizm żołnierzy „Osnowy” zgrupowania kpt. „Gardy” 23 pp z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, którzy 27 maja 1944r. przebili się przez front niemiecki.

* * *

Leon Popek

LEON KARŁOWICZ (MARIĄSKI) ŻOŁNIERZ, NAUCZYCIEL, REGIONALISTA, POETA, HISTORYK

Poznałem go 20 lat temu i później miałem zaszczyt z Nim pracować, rozmawiać, jeździć na Wołyń. Przez wiele lat wspaniale i niezwykle godnie, jako prezes, reprezentował Lubelskie Środowisko Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Był człowiekiem uczciwym, prawym i dobrym, chociaż w życiu tak wiele doświadczył.

Leon Mariański – bo tak prawdziwie brzmiało Jego nazwisko urodził się 30.12.1922 r. w Zasmykach na Wołyniu. Przez rodziców jednak został przepisany na styczeń 1923 r.

Po latach napisze: „Wołyń, Mój Wołyń, Kraina sercu najbliższa. Gdziekolwiek jestem i czymkolwiek się zajmuję, zawsze mam przed oczyma tamta ziemię ...”.

Wołyń był dla Niego do końca życia ukochaną ojcowizną i najdroższą Ojczyzną, za którą tęsknił, za którą walczył i przelewał krew. Często, już po wojnie ją odwiedzał i do końca dla niej pracował. Warto w tym miejscu wspomnieć chociaż niektóre jego inicjatywy i prace: odrestaurowanie i stała opieka nad cmentarzem wojennym w Zasymkach, ekshumacja ofiar UPA w Lityniu, a następnie ich pogrzeb, pomnik upamiętniający przeprawę żołnierzy – 27 WDP AK przez Prypeć, urządzenie kaplicy wołyńskiej w Kałkowie, zainicjowanie budowy kaplicy w Zasmykach. Do tego należy dodać dziesiątki artykułów kilkanaście książek (niektóre miałem możliwość z Nim opracować i wydać). Jest też autorem przepięknych wierszy – głównie o tematyce wołyńskiej. Jak sam mi kiedyś wspomniał, w Jego życiu bardzo ważne znaczenie miał fakt wstąpienia w grudniu 1942 r. do ZWZ – AK i złożenie przysięgi na krzyż, że do ostatniej kropli krwi walczyć będzie w obronie Ojczyzny. Przyjął pseudonim „Rydz” (od rudych włosów). Kolportował prasę podziemną i pełnił rolę łącznika. W lecie 1943 r. zgłosił się do oddziału samoobrony por. „Jastrzębia” – Władysława Czerwińskiego. Na początku walczył z OUN – UPA w obronie bezbronnej ludności polskiej. Widział niemal codziennie jak płonął Wołyń, a właściwie jesienią 1943 r. już dogorywał. Setki polskich wsi było, już w zgłiszczach. Śmierć poniosło dziesiątki tysięcy Polaków. Uciekinierzy zalewali miasta, w których panował głód i szerzyły się choroby. Młodych i zdrowych Polaków Niemcy wywozili na przymusowe roboty do Rzeszy. Przetrwały i bohatersko broniły się nadal tylko nieliczne placówki: Przebraże, Bielin, Zasmyki ...

Gdy powstała 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK znalazł się w jej szeregach. Podczas walk w 1944 r. został ranny i przez wiele tygodni przebywał w szpitalu polowym. Do końca swoich dni nosił kulę w ramieniu! Po wyzdrowieniu wrócił do szeregów Dywizji i brał udział w walkach z niemieckim okupantem od Zasmyk, przez Lasy Mosurskie, przez Polesie, Lubelszczyznę aż do Skrobowia, gdzie rozbroiła 27 WDP AK Armia Czerwona. I tak znalazł się razem z innymi, daleko od rodziny, ukochanego Wołynia, na „lubelskim

bruku". Żeby uniknąć aresztowania i wywózki na Syberię, dokonał „retuszu w życiorysie”. Zmienił nazwisko z **Mariański na Karłowicz, Zasmyki** – miejsce urodzenia na **Rybnik** a nawet datę urodzenia **30.12.1922 r. na 20.01.1926 r.** W 1947 r. zaczął studiować na KUL polonistykę, a jednocześnie podjął pracę jako nauczyciel w Technikum Pszczelarskim z siedzibą w Pszczelej Woli. W październiku 1948 r. ożenił się z Alą Scelinówną – koleżanką ze studiów, a wcześniej sanitariuszką w szeregach partyzanckich. Kilka miesięcy później – 25 czerwca 1949 r. Jego żona została aresztowana przez UB i skazana na 5 lat więzienia za ... dwa listy napisane do koleżanki i do księdza Michała Żukowskiego – byłego proboszcza z Zasmyk. W listach tych opisywała wydarzenia z Bożego Ciała w Lublinie. W więzieniu urodził się syn – Leon Tadeusz. Ileż trzeba było zabiegów żeby uratować dziecko z więzienia ...

Nowym etapem w życiu Leona Karłowicza była ponad 30-letnia praca nauczyciela i wychowawcy młodzieży w Technikum Pszczelarskim. Prowadził tam lekcje języka polskiego, kierował amatorskim zespołem teatralnym i organizował z młodzieżą rajdy niemal po całej Polsce. Uczył historii miłości do Ojczyzny i patriotyzmu. Jednocześnie kontynuował swoją kolejną pasję jako regionalista, pszczelarz i działacz społeczny.

W trakcie przygotowywania wspólnej książki „Świadkowie oskarżają”, Len Karłowicz zaczął chorować. Nie poddawał się jednak chorobie. Wtedy powstał wiersz „Na próżno”. Niemal ostatkiem sił zorganizował poświęcenie kaplicy wołyńskiej w Kalkowie następnie uroczystości nad Prypecią. Gość na naszych oczach w każdym dniu.

Zmarł 29 sierpnia 2002 r.

Był ppor. rezerwy AK. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką ZNP, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem AK.

Ś.P. Leon Karłowicz został uroczystie pochowany 2 września na cmentarzu parafialnym w Żabiej Woli. Odszedł człowiek, który kochał i walczył o **prawdę!** Był zawsze otwarty na innych. Pozostał wierny do końca przysiędze, którą złożył na krzyż.

Już teraz bardzo Go nam brakuje.

Wierzę, że jest nadal orędownikiem wołyńskiej sprawy.

Oto niektóre książki autorstwa Leona Karłowicza: Za dywizję wołyńską; Lublin 1993, Nie zostawiajcie mnie tu; Lublin 1994, Zasmęki były naszym domem; Lublin 1995, Ciernista droga, Kalwaria Zebrzydowska; Lublin 1997, Wołyniacy na lubelskim bruku; Lublin 1997, Czy utracona szansa; Lublin 1998, Śladami ludobójstwa na Wołyniu; Lublin 1998 (razem z L. Popkiem), Siódmy dzień piekła; Lublin 200, Ludobójcy i ludzie; Lublin 2000, Tam za Bugiem t.1-5; Lublin 1992-2001, Polska – Ukraina: smutne refleksje, Lublin 2002, Świadkowie oskarżają (razem z L. Popkiem – w druku).

Na próżno

Na próżno jęczysz, Wołyniu,
Polska się Ciebie wyrzekła.
Niepomna na morze krwi tej,
co z ran Twych synów wyciekła,
na kości zmurszałe tysięcy
zabitych i umęczonych ...
Nie doczekają się nigdy
krzyży cmentarnych, święconych.
Wiara nam każe wybaczyć,
odpuścić winy mordercom,
lecz jakże trudno nakazać
milczenie zboliałym sercom ...!

Sercom tych, co straciły
bliskich, najbardziej kochanych,
co noszą do dzisiaj blizny
po ranach wtedy zadanych.
Co do dziś tłumią ból srogi
po mękach ojców i matek,
i wylewają codziennie
bolesnych łez swych ostatek.

Trawą zarosło mogiły
kryją dziś pola i lasy,
a Polska je wykreśliła
ze swoich dziejów i czasów ...

* * *

PIELGRZYMKA NA WOŁYŃ 9-10.11.2002 r.

„Gorące przywiązanie do ziemi rodzinnej – ukochanego Wołynia – i nieustanna do niego tęsknota pobudza, nawet zmusza byłych Kresowian do wylewania swych żalów zarówno z powodu nieubłaganego losu, który ich tak mocno doświadczył, jak i do naszych rządzących, którzy z trudnych do odgadnięcia przyczyn, poprzysięgli chyba milczenie o dziesiątkach tysięcy Polaków – kobiet i mężczyzn, starców i nieletnich dzieci - okrutnie wymordowanych przez UPA jedynie dlatego, że urodzili się Polakami. Błędnie wobec niej rzeź humanistyczna, galicyjska, czy nawet powstanie Chmielnickiego. Z przytłaczającej większości wołyńskich polskich wsi i osiedli banderowcy nie pozostawili przysłowiowego kamienia na kamieniu. Uśmiercali wszystkich bez wyjątku, rabowali cały dobytek, palili każdy polski dom, a usiłujących uciec ze stworzonego piekła tropili i zabijali, jak myśliwi tropią i zabijają z całym spokojem i satysfakcją zwierzę łowną. I nigdy jeszcze w żadnym kraju, poza byłym ZSRR, zmowa milczenia o popełnionych na własnym narodzie zbrodniach ludobójstwa nie była tak przestrzegana z takim uporem i przez tyle lat, jak to się dzieje obecnie w Polsce. Na temat rzezi na całych Kresach nawet głośne wypowiadanie się uważane jest za coś niewłaściwego. Jakże ciężko znosić to wszystkim tym, którzy tylko cudem unieśli życie z płonącego Wołynia. (...)

Wszystko to boli dotkliwie i przygnębia byłych mieszkańców Kresów Wschodnich. Boli tym bardziej, że młode pokolenie Polaków wychowuje się i kształci w zupełnej niewiedzy o tragicznych losach swych ojców i dziadów. W dodatku, jak na ironię, sprawy masowych mordów dokonanych na ludności polskiej znajdują o wiele więcej łask i względów w naszych urzędach, a nawet u parlamentarzystów, niż ich ofiary. Bezkarne, wbrew przepisom prawnym, budują na polskiej ziemi pomniki swoim pobratymcom – ludobójcom, szkalują naszą przeszłość w opłacanym przez polskiego podatnika „Naszym Słowie”, odbywają spokojnie zjazdy i spotkania ziomkowskie, na których poddają surowej krytyce wszystko co pol-

skie, patriotyczne, narodowe”. (Leon Karłowicz – „Tam za Bugiem” tom III).

Mogily żołnierskie i pomordowanych osób cywilnych porozrzucane są po całym Wołyniu i południowo – wschodniej Małopolsce. Jednym z takich cmentarzy jest cmentarz wojskowy w Zasmykach. Trudno dzisiaj mówić, że jest to tylko – wojskowy. Pochowanych jest tutaj około stu żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i tyleż lub więcej ofiar zbrodni UPA. Uroczystość poświęcenia odnowionego cmentarza odbyła się 13 września 1992 roku.

W dziesięć lat później doszło do kolejnej uroczystości. Z inicjatywy Leona Karłowicza wybudowana została kaplica na miejscu zburzonego w 1956 roku kościoła. Kaplica, a właściwie mały kościółek jest miniaturą kościoła ze wszystkimi jego elementami. Architektura kościółka bardzo bogata, a nawet dostojna. Budowę kaplicy zajął się niezmordowany proboszcz parafii kowelskiej o. Zygmunt Majcher. Pieniądze na budowę zorganizował Leon Karłowicz, zbierając datki od wszystkich prawie żołnierzy 27 WDP AK. Pomagało mu całe Środowisko Lubelskie Wołyniaków. Kaplica nie jest jeszcze w całości wykończona. Pozostało do wykonania pokrycie dachu dachówką (obecnie jest tylko papa) i trochę innych drobnych robót.

10 listopada 2002 roku odbyło się uroczyste poświęcenie kościołka. I znów organizacją całej uroczystości zajął się o. Zygmunt, oczywiście na Wołyniu. Natomiast w Polsce – Środowisko Żołnierzy 27 WDP AK w Lublinie. Na uroczystość przybył ks. biskup Marcejan Trofimiak – Ordynariusz Diecezji Łuckiej. Ze strony polskiej w uroczystości uczestniczyli pan Zbigniew Wojciechowski v-ce Prezydent miasta Lublina i ks. Franciszek Ostrowski – również z Lublina. Wiernych było około sto osób. Pięćdziesięciu Polaków i około pięćdziesięciu Ukraińców. Poświęcenia kościółka dokonał ks. Biskup. Następnie odprawił pierwszą w tej kaplicy Mszę Św. W homilii swojej powiedział między innymi: „... Na miejscu tej drewnianej kaplicy, (kaplica ta została zbudowana w 1992 roku – AM) jest teraz niewielka, ale bardzo piękna i właściwie zupełnie wystarczająca kapliczka, a nazwiemy to nawet kościółkiem.

I to będzie wotum, nasze wotum, wotum pamięci tym, którzy polegli, tym, którzy odeszli. Dlatego, że pamięć nie może umrzeć. Inaczej nie byłoby przyszłości. Pamięć, która każe nam modlić się za

wszystkich, którzy odeszli z tego życia tak niespodziewanie. Nie wskutek choroby. Nie wskutek podeszłego wieku, ale na wskutek nieprawości. Dlatego, że każda wojna jest zawsze owocem czyjejś nieprawości. I dzisiaj pamiętając o tych zmarłych modlimy się o pokój, modlimy się o sprawiedliwość, modlimy się o miłość, modlimy się o poszanowanie każdego człowieka, gdyż świat dzisiejszy może takiej modlitwy najbardziej potrzebować ...”.

Na zakończenie Mszy Św. Prezydent miasta Lublina wręczył księdzu biskupowi pamiątkowy medal – Medal Unii Lubelskiej. Również Prezes Środowiska Lubelskiego żołnierzy 27 WDP AK pan Eugeniusz Piątek wręczył księdzu biskupowi album pamiątkowy „Żołnierze Wołynia”. Taką samą książkę otrzymał o. Zygmunt Majcher.

Uroczystość poświęcenia kościółka dobiegła końca. Będzie więc gdzie przyklęknąć i pomodlić się w czasie kolejnych pielgrzymek na groby bliskich. Pielgrzymki z Polski odbywają się dwa razy do roku. Również i z Czech co roku przybywa pielgrzymka do Kupiczowa i Zasmyk. W Czechach jest bardzo mały procent katolików, jednak z pielgrzymką przybywają prawie tylko katolicy. Urodzeni i wychowaniu na Wołyniu.

W programie pielgrzymki było jeszcze złożenie kwiatów i zapalenie zniczów na cmentarzach w Zasmykach, Kowlu, Kupiczowie i Turzysku. Ten ostatni prosi o zatroszczenie się nim. Jest to w tej chwili jeden wielki krzak. Nie ma praktycznej możliwości wejścia na ten cmentarz. Jest to teraz również wysypisko śmieci, a powinien być zadbany i otoczony specjalną troską. Oprócz tego, że jest to chyba jeden z najstarszych cmentarzy wołyńskich, to w dodatku na tym cmentarzu spoczywają ofiary pierwszego morderstwa w tym rejonie. Ojciec Leśniewski i jego dwóch synów. Ofiara ich życia dała początek samoobrony w Zasmykach, później – załazek 27 WDP AK. Ofiara ich życia to życie chyba tysięcy ludzi, którzy uniknęli rzezi naziistów ukraińskich.

Nasza pielgrzymka była również w Kupiczowie. Na cmentarzu. Tam również zapłonęły znicze. Pamięć trwa. Prawie w środku Kupiczowa stoi kościół przerobiony przez Sowietów na młyn. Jak dotarły do mnie przyciszone słowa, młyn ten w niedługim czasie ma zakończyć przemiał zbóż. A co w nim pozostanie? Do ruiny chyba nie

można dopuścić, zwłaszcza, że konstrukcja budynku jest w dobrym stanie technicznym. Do odbudowy kościoła – wydaje mi się – chętnie włączyliby się Czesi – Kupiczowianie. Jak już wspomniałem, odbywają oni coroczne pielgrzymki do Kupiczowa, Zasmyk, Kowla i do innych miejscowości wołyńskich. Rozmowy z Czechami biorę na siebie.

Na zakończenie zacytuję wiersz Leona Karłowicza zawarty w V tomiku „Tam za Bugiem”. To takie skromne wotum na cześć, niestety, już nieżyjącego Wielkiego Wołyniaka.

Płyną obłoki

Płyną. Jak niegdyś obłoki,
ku Wołyniowi, hen, płyną,
ku ziemi naszych Praojców
co Matką naszą Jedyną.

Ku ziemi, gdzie lata radosne
cudowną wiosną pachniały,
gdzie ptaki, kwiaty i kłosa
radośnie się nam kłaniały.

Została nasza Ojczyzna
lat najkochańszych, dziecięcych,
i boli jak ciężka rana
coraz dotkliwiej, goręcej.

Nie zapomnimy o Tobie,
nasz ukochany Wołyniu
i o was, rzeki ojczyste –
Turio, Stochodzie, Horyniu!

O tobie Styrze, coś z Ikwą
swą ukochaną związany,
we krwi niewinnej po brzegi
niemiłosiernie skapany.

Panoszą się nasi mordercy
w Ojczyźnie naszej bezbronnej,
i ślą jej swoje sztańskie
ironii pełne podzwonne.

Władza się swoich wyrzekła,
na wieczną niepamięć skazała.
Zamilkły o nich media,
jak twarda, nieczuła skała.

Dziesiątki tysięcy zakłutych,
łupionych żywcem ze skóry,
i krwi kałuże niewinnej.
I bóle, cierpienia, tortury
Wołyniu! Kiedyż two dzieci
rozszarpywane w kawały,
gdy – niemowlęta w kołysce –
słów jeszcze polskich nie znały,
Kiedyż cię męczennicy
zyskają pomnik w swym kraju,
taki, jak ich mordercy
od dawna już mają ...!



Nowy kościółek w Zasmykach na Wołyniu.

* * *

TADZIO

„Pamięta ich wołyński wiatr
i nieraz śni w koronach drzew.”

W. Kejne

Kiedy po wielu latach wracam do wspomnień z lat dziecięcych, lat okaleczonych przez tragiczne wydarzenia ostatniej wielkiej wojny, myśli me biegną tam nad Ługę, na ulicę Ozerną, Artyleryjską, do Włodzimierza na Wołyniu. właśnie tam na zawsze, na cmentarzu, który ciągnął się wzdłuż ulicy Artyleryjskiej, pozostał Tadzio.

Zawsze, kiedy powołują młodych chłopców do wojska, do jakichkolwiek oddziałów aby bronić Ojczyzny, jest ktoś który mówi „Ojczyzna o Was nie zapomni”.

Nie wiem czy ksiądz Żarkowski z kościoła tzw. „Nowego” we Włodzimierzu, przyjmując przysięgę od swego ministranta – Tadzia, wstępującego właśnie w szeregi oddziału partyzanckiego wypowiedział te właśnie słowa, ale wiem, że piętnastoletni Tadzio głęboko w to wierzył. W imię tej wiary narażał swoje i często swojej rodziny życie, ponieważ wierzył, że to co robi, robi dla Ojczyzny, że musi o nią walczyć, bo jest Polakiem, a taki już od wieków był los Polaków na „Kresach”. Podzielił też los tysięcy Polaków, których krew obficie zrosiła wołyńska ziemię.

Tadeusz Kuraż urodził się 9 września 1928 r. w Gminie Siedliszcze pow. Kowel, ojciec jego był komendantem posterunku Policji Państwowej. Matka Anna z domu Podedworna, którą los z Łomżyńskiej ziemi rzucił na Wołyń, poznała Stanisława przyszłego swego męża i tu na Wołyniu w Lubomlu 13 października 1927 r. pobrali się. Ojciec był legionista, do legionów wstąpił ochotniczo jesienią 1914 r. w Przemyślu, zakończył służbę wojskową wiosną 1918 r. z jedną raną lekką i jedną ciężką, ponad pół roku przebywał w szpitalu. Po zdemobilizowaniu znów trafił na front, ale teraz już w szeregach „Orląt Lwowskich”. Niestety ukraińskie kule i tym razem ominęły go i znów trafił do szpitala. W 1921 r. zgłosił się do służby w Policji Państwowej i trafił na Wołyń tu założył rodzinę. Tadzio był pierwszym synem Anny i Stanisława. Był zdrowym silnym chłopcem z pięknymi złoto-blond falistymi włosami (wśród rodzinnych pamiątek zachowały się pukle pierwszych włosów Tadzia). Ciężar

wychowania syna spadł na Annę, ponieważ obowiązki komendanta posterunku policji wymagały ciągłych wyjazdów w teren. Okolice te były ciągle penetrowane przez różne grupy dywersyjne i zwykle bandyckie kierowane przez sowieckie służby specjalne. Tadzio rósł szczęśliwie i w lipcu 1931 r. w prezencie otrzymał młodszego brata Zdzisława, a w kwietniu 1934 r. siostrę Jadwigę.

Szybko mijały dni, miesiące i szczęśliwe dziecięce lata Tadziowi i jego rodzeństwu, jako najstarszy syn zawsze opiekował się młodszym bratem i siostrą, zwłaszcza wtedy, kiedy Ojca nie było w domu, a zdarzało się to niestety bardzo często. Ale jakże radosne i szczęśliwe to były lata, spędzone na wołyńskiej ziemi, wśród kochających bliskich, wśród bujnej przyrody, srogich zim i upalnych długich letnich miesięcy. Jesienią 1935 r. Tadzio poszedł do pierwszej klasy Publicznej Szkoły Powszechnej w Siedliszczach. Nauka nie sprawiała jemu żadnej trudności, zdawał z klasy do klasy i pewnie tak by było dalej, ale po skończeniu czwartej klasy już do szkoły nie wrócił. Był właśnie 1 września 1939 r. ten jedenastoletni chłopiec został w brutalny sposób pozbawiony raz na zawsze spokojnego dzieciństwa. Ojciec, na parę dni przed wkroczeniem Sowietów, całą rodzinę zawiózł do majątku Ukraińca, który był wójtem w Siedliszczach, był nawet chrzestnym najmłodszej córki Jadwigi, myślał, że to uchroni jego rodzinę przed ukraińskimi bandami i sowieckimi wojskami. W tym czasie już wiedział o przygotowaniu Sowietów do agresji na Polskę, policja miała swoich informatorów, ale był pełen optymizmu. Żegnając się z żoną i z dziećmi w Turyczanach, tam właśnie był ten tzw. „majątek” wójta Kuszneruka, pocieszał ich mówiąc, że za dwa tygodnie wrócą do domu, Anglia i Francja już „ruszyły”, a z Sowietami damy sobie radę. Nie wiedział, że po raz ostatni widzi swoją żonę w siódmym miesiącu ciąży z oczekiwanym czwartym dzieckiem i trójką zapłakanych dzieci, że nigdy się nie dowie czy to kolejne dziecko to chłopiec czy dziewczynka. Jeszcze wtedy On – były legionista obrońca Lwowa nie wiedział, chyba nikt nie wiedział, o tym, że 17 września 1939 r. będzie datą kolejnego IV rozbioru Polski. A te Kresy, o które tak walczył jego Komendant, którego kochał żołnierską miłością i darzył bezgranicznym oddaniem, staną się dla Polaków mitem i legendą. Że na zawsze utracimy nie tylko te „Jagiellońskie Kresy”, ale i te po „pokoju ryskim”.

Jednakże nie te ważne dla naszego narodu sprawy w tym momencie zaprzętały myśli Jego i Jego bliskich, On wrócił na swój posterunek a następnie do Kowla do komendy powiatowej i tam zagarnęli Go Sowietci. Natomiast parę dni później taki sam los spotkał całą rodzinę. Podczas aresztowania w Turyczanach, w czasie rewizji znaleziono policyjny płaszcz, który omal nie stał się powodem śmierci Anny i jej nienarodzonego jeszcze dziecka, dużo nie brakowało, aby sowiecki bagniet pozbawił ich życia. Doszczętnie ograbieni tylko z małymi tobołkami zostali przewiezieni do Włodzimierza na Wołyniu i zamknięci w obozie zorganizowanym w zakonie. Przebywały tam same kobiety i dzieci „polskich panów”, czekając na możliwości zapewnienia środka transportu, aby wywieźć ich na Sybir, co właściwie oznaczało dla nich wyrok śmierci. We Włodzimierzu znaleźli się po raz pierwszy w życiu, nikogo tutaj nie znali, szczęściem dla nich okazały się sowieckie zwyczaje, że „rebiatam wsio można”, dzieci mogły wychodzić z obozu, wartownicy nie wypuszczali tylko kobiet. Dzięki temu Tadzio poznał miłą i sympatyczną dziewczynę Halinę Sawicką i jej chłopca Bronka Nosala. Ojciec Haliny był właścicielem młyna we Włodzimierzu. Halina wraz z Bronkiem oraz ze swoim bratem Stachem, który był absolwentem szkoły kadetów wspólnie z Tadzciem obmyślili plan ucieczki całej rodziny z obozu. Nie należało to przedsięwzięcie do łatwych, ale uwzględniając panujący bałagan, brak jakiejkolwiek ewidencji zatrzymanych, mogło się udać. Zaplanowano, że jak Anna będzie wkrótce rodziła to skierują ją do szpitala, ponieważ z chorymi kobietami tak dotychczas postępowali, a w tym czasie Tadzio, Zdzisio i Jagódka przetrzucią przez płot swoje tobołki i wyjdą z obozu, a tutaj zaopiekują się nimi Halina, Bronek i Stach.

Ten śmiały i wprost nieprawdopodobny plan w pełni się udał. Rodzina 9-go listopada 1939 r. powiększyła się o jeszcze jednego syna, który wraz z Anna został po kryjomu zabrany przez Halinę i Bronka ze szpitala i umieszczeni w jednej z dzielnic Włodzimierza na Piaskach w domu szewca, a pozostałą trójkę dzieci rozdzielono po innych polskich rodzinach. Była to jednak dopiero połowa sukcesu, rozpoczęła się sroga zima. Anna nie miała czym karmić malca, często była to tylko woda otrzymana ze szronu zdrapanego z zamrożonego okna i ogrzana w dłoni. Szewc też nie był zadowolony ze

swoich lokatorów, ale bał się głównie Haliny, która była duszą całego przedsięwzięcia i już wtedy reprezentowała organizację ruchu oporu wobec okupanta. Najwięcej zmartwień dostarczał najmłodszy z rodzeństwa, wszyscy obawiali się o to czy uda się utrzymać przy życiu, postanowiono, więc czym prędzej ochrzcić go. Niestety i ta prosta zdawałoby się czynność była bardzo niebezpieczna, Sowieci zabronili czynić tego typu obrządków religijnych, a nieposłuszeństwo wiadomo, czym mogło się skończyć dla księdza i dziecka. Dla Haliny i Bronka nie było jednak rzeczy niemożliwych, przekonali proboszcza z kościoła Farnego ks. Stanisława Kobyleckiego i po kryjomu ochrztili malca nadając mu imiona Ryszard Stanisław. Zostali też jego rodzicami chrzestnymi jako jedyni „wojenni” bliscy. Ta wspaniała dwójka ciągle troszczyła się o całą rodzinę Tadzia, dokazując często prawdziwych cudów, robiąc rzeczy niemożliwe. Kilkakrotnie zmieniali miejsca zamieszkania Anny i Ryszarda, a także starszego rodzeństwa w małym miasteczku „pod nosem” Sowietów oraz wrogich w zdecydowanej większości Żydów i Ukraińców.

W tym okresie największym zagrożeniem dla Polaków była milicja w swojej głównej masie składająca się z silnie komunizującej żydowskiej biedoty.

Do końca maja 1940 r. cała rodzina ukrywała się, nikomu nie mogli się pokazywać tylko nocą wychodzili odetchnąć świeżym powietrzem i spojrzeć na gwiazdy na wołyńskim niebie.

Wiosną 1940 r. Sowieci wywieźli już wszystkich z obozu w klasztorze i uznali, że we Włodzimierzu nie ma już „wrogich burżuazyjnych elementów”. Halina z Bronkiem podjęli starania, aby rodzinę Tadzia wyprowadzić z podziemia. Po pierwsze trzeba było „coś zrobić” z najmłodszym Rysiem, aby go uznać za „grażdanina sowjetskiego sojuza”. Należało go zapisać w ZAGS-ie, co uczyniono, mały otrzymał „nareszcie” odpowiedni dokument, oczywiście nieprawdziwy, ponieważ podobno urodził się w 1940 r. już za czasów prawowitej władzy, ale był to dokument, który pozwalał oddać małego do sowieckiego żłobka. Polska niepokorna natura dała szybko znać o sobie, Rysio nie czekał na komendy, czy godziny posiłków ustalone przez zawjeduszczyku, ale darł się najgłośniej i zawsze pierwszy, ponieważ był najbardziej wygłodzonym dzieckiem w żłobku. Oczywiście momentalnie zaczynały wrzeszczeć i pozostałe

dzieci, z tego powodu „rewolucyjny” malec wkrótce otrzymał od personelu przydomek „towariszcz komisar”. Matce Tadzia – Annie załatwili pracę opiekunki w przedszkolu, a następnie przy pomocy doktora Zygmunta Podlipskiego (z pochodzenia Żyda zaprzyjaźnionego z Polakami, w 1944 r. trafił wraz z żoną i córeczką do oddziału 27 WDP AK w Bielnie, podczas jednej z potyczek z Niemcami zginęła jego córeczka), została „miedsiestroj” w szpitalu we Włodzimierzu. Pozostawał problem mieszkania i znów „opiekunowie” Halina i Bronek załatwili mieszkanie, skromny jeden pokój z kuchnią na ulicy Kowelskiej, nareszcie cała rodzina była razem prawie cała, nieznanym był los Stanisława – ojca i męża. On już w tym czasie nie żył, został bestialsko zamordowany strzałem w tył głowy w piwnicy Zarządu NKWD w Kalininie (Twerze) i po kryjomu pogrzebany w Miednoje, ale wtedy jeszcze wszyscy łudzili się nadzieją, że wróci. Do 22-go czerwca 1941 r. w rodzinie Tadzia nic nadzwyczajnego się nie działo, z wyjątkiem ciągłego dokuczliwego głodu i biedy. Nie było w co się ubrać ani co zjeść nie pomagało też nieustanne „zastawianie” u żydowskich kupców ostatniej ocalałej biżuterii. Tadzio i o trzy lata młodszy Zdzisio musieli chodzić do ukraińskiej szkoły, co było poważnym problemem nie tylko ze względu na niechęć do ukraińskiego systemu edukacji, ale również z powodu, że nie było, w co się ubrać, szczególnie jesienią i zimą. Problem ten był rozwiązywany między innymi w ten sposób, że najpierw do szkoły szedł Tadzio wraz z Matką w szkole zdejmował buty (często były to tylko takie przedwojenne kałosze nakładane na obuwie) oraz ciepłe okrycie, następnie Anna przenosiła to dla młodszego Zdzisia, on szedł do szkoły, a ona do pracy. Po pracy i zajęciach w szkole operacja się powtarzała. Ogromną rolę w przetrwaniu polskich rodzin w czasie całej okupacji spełniał na Wołyniu kościół katolicki, rolę tą trudno przecenić. Niedaleko miejsca zamieszkania rodziny Tadzia były dwa kościoły. Farny z proboszczem St. Kobyleckim oraz tzw. Nowy z proboszczem Gładusiewiczem i wikarym księdzem Żarkowskim, w tym właśnie kościele Tadzio i Zdzisio zostali ministrantami.

Wkraczanie wojsk niemieckich do Włodzimierza przyjmowane było przez ludność polską bez entuzjazmu, ale z pewną ulgą, czemu nie należy się dziwić, po doświadczeniach z pierwszym okupantem. Najbardziej zaangażował się w powitanie wojsk niemieckich 10-cio

letni Zdzisio, maszerujące przez ulice Kowelską kolumny wojsk częstował wodą z pobliskiej studni, którą nabierał do wiadra, było bardzo, a żołnierze mocno utrudzeni. Jednak z każdego wiadra najpierw sam musiał się napić, chyba za jednym razem w całym swoim życiu nie wypił tyle wody jak w ten upalny czerwcowy dzień.

Blizsze spotkanie z nowym okupantem omal dla całej rodziny Tadzia nie skończyło się tragicznie. Właściciel domu, w którym mieszkali, po wkroczeniu Sowieców wydał swoją piękną córkę za lejtanta Czerwonej Armii, była to „inwestycja”, która przez prawie dwa lata dobrze się sprawdziła. I chociaż córka wraz z lejtantem zdążyła uciec przed wkroczeniem Niemców, faktu tego nie udało się ukryć, wkrótce wszyscy mieszkańcy tego sporego domu znaleźli się pod ścianą i niestety cała rodzina Tadzia nie wyłączając Rysia, któremu zaledwie szedł drugi roczek. A z drugiej strony patrzyła na nich lufa ręcznego karabinu maszynowego, parę domów wcześniej rozstrzelano kilka osób i pewnie taki sam los spotkały i ich gdyby nie dolary i złoto właściciela i uczciwa pazerność niemieckiego oficera, przecież pieniądze mógł wziąć a zrobić to, co zamierzał. Zbyt wielkie to było przeżycie dla rodziny Tadzia i jak tylko nadarzyła się okazja zmienili mieszkanie. Zamieszkali na ulicy Ozernej 11 „a”.

Drugą mniej dramatyczną, ale również fatalną w skutkach była decyzja niemieckich władz o zwolnieniu z pracy w szpitalu wszystkich Polaków. Anna została znów bez środków do życia. Pomogli jak dotąd dobrzy ludzie, Rysio trafił do Siedmiarek do Państwa Ragusów, i trafił najlepiej był rozpieszczany przez rodzeństwo, Panie Oleńkę i Bronię oraz Pana Józia. Jagódka trafiła do Państwa Kopeców (rodzina słynnego profesora dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie) na ulicę Artyleryjską, a Tadzio i Zdzisio do pomocy w pobliskich gospodarstwach prowadzonych przez polskie rodziny. Anna pracowała dorywczo, ale była spokojna, bo dzieci miały, co jeść, jak tylko mogła odwiedzała najmniejszego Rysia w Siedmiarkach, nie było to jednak takie proste, ponieważ z Włodzimierza było to 7 kilometrów (stąd nazwa tego majątku). Po wkroczeniu Niemców do Włodzimierza wraz ze zmianą okupanta zmieniła się i miejscowa „władza”, milicję żydowską zastąpiła milicja ukraińska. Przy aprobacie niemieckiej rzeczywistej władzy, całą swoją energię w pierwszym rządzie milicjanci ukraińscy skierowali przeciw ludności ży-

dowskiej. Władza sowiecka po 17 września 1939 r. i zajęciu Wołynia wszędzie starała się podkreślić przynależność tych ziem do Kraju Rad, między innymi zburzyli wszystkie polskie pomniki, a postawili oczywiście pomniki swoich wodzów rewolucji. We Włodzimierzu stanął pozłacany Stalina i bardziej skromny Lenina, teraz ukraińska policja starając się przypodobać niemieckim mocodawcom spędzała ludność pochodzenia żydowskiego na ten plac kazali im załatwiać się w przyniesione ze sobą różne naczynia i olewać te pomniki, „zabawa” ta trwała przez kilka dni. Następnie zdemolowano wszystkie żydowskie sklepy, a Żydów, których we Włodzimierzu liczącym około 30 tys. mieszkańców było ponad 10 tys. masowo mordowano gdzieś w okolicy, a część wywieziono. Tak właśnie nacjonałiści ukraińscy starali się zasłużyć Niemcom licząc na swoje samodzielne państwo.

Po Żydach przyszła kolej na Polaków. Powstała w 1942 r. UPA, w której prym wiedli banderowcy przystąpiła do masowych rzezi ludności polskiej. Próby mordów Polaków w samym Włodzimierzu zostały ograniczone przez odwet naszych organizacji samoobrony, ale okoliczne wioski zamieszkałe przez ludność polską w tym przez osadników wojskowych, spływały krwią. Jeszcze w 1944 r. wiosna na ulicy Łuckiej widziałem przerażający obraz mordu dokonanego na jednej polskiej rodzinie. Do dziś mogę przywołać obraz małego dziecka na widłach wbitych w ziemię i strzępy ludzkich ciał. Takie obrazy dla Polaków mieszkających w tym czasie na Wołyniu nie należały do rzadkości. Rodzina Tadzia również przeżywała nie raz chwile grozy. Kiedy do Włodzimierza zbliżały się „ordy rezunów”, wtedy całe rodziny uciekały do kościołów. Nie jedną noc spędzili w zamkniętym kościele gorąco modląc się o uratowanie życia, jedynie w Bogu była nadzieja, ponieważ Niemcy zachowywali stoicki spokój, ich straszni mordercy bali się. Ponadto właśnie na Niemców liczyli w sprawie utworzenia „Samostijnoj Ukrainy”.

W 1942 r. Tadzio rozpoczął pracę w przedsiębiorstwie transportowym, którego właścicielem był Niemiec o nazwisku Wentz. Miał on kilka samochodów głównie z napędem, na holtzgas, tzn. opalanych drzewem zamiast benzyny, której najbardziej Niemcom brakowało, oraz furmanki konne. Sytuacja materialna rodziny znacznie się poprawiła, a Tadzio 14-letni chłopiec stał się „żywicielem” rodziny.

W tym też czasie ksiądz Żarkowski będący z pewnością jednym z organizatorów ruchu oporu wobec okupantów pomalu wprowadzał Tadzia do organizacji. Tadzio miał swobodę poruszania się po Włodzimierzu jak i okolicy, ponieważ pracował u Niemca, a ponadto „dysponował” furmanką lub dorożką, pracował bowiem jako woźnica. Fakt ten z pewnością był jednym z decydujących powodów włączenia Tadzia do organizacji. Przysięgę na wierność Ojczyźnie i organizacji złożył przed ks. Żarkowskim i rozpoczął swą służbę, która polegała głównie na łączności z formującym się oddziałem w Bielinie.

Przewoził też wszystką zdobytą broń przez siebie oraz innych takich jak on chłopców do Bielina. Do tej czynności często też wciągał młodszego brata Zdzisława, w tajemnicy przed Matką i młodszym rodzeństwem włamywali się do niemieckich samochodów wynosząc z nich pozostawioną broń. Wyprawy te były niebezpieczne nie tylko dla Tadzia i Zdzisia ale dla całej rodziny, ponieważ często tą broń chował w piwniczce przeznaczonej na opał w domu w którym mieszkała cała rodzina. Pewnego razu kiedy z zaparkowanego w pobliżu swego mieszkania na ulicy Ozernej samochodu wyniósł karabin Mauzer i schował go w tej piwnicy został zauważony przez najmłodszego 4-letniego wówczas Ryszarda, który oczywiście o powyższym pochwalił się Matce, nastąpiła pełna dekonspiracja. Tadzio jak mógł tak się wykręcał różnymi kłamstwami, że nie jest w żadnej organizacji, że to po prostu tylko przypadek, ale jeszcze tej samej nocy znalazł sposób aby ten karabin przetransportować do Bielina. W końcu 1943 r. lub na początku 1944 r. w tej samej piwniczce Tadzio ukrył Żyda i znów zdemaskował go Rysio, którego wszędzie było pełno. Okropnie wystraszony, ponieważ ten Żyd wyglądał strasznie, był zabiedzony, zarośnięty, obdarty, „zameldował” Matce. Trudno powiedzieć gdzie Tadzio go spotkał. Historia powtórzyła się jak poprzednio z karabinem i tego biedaka Tadzio w nocy doprowadził do Bielina. Od tej chwili już Anna nigdy nie zaznała spokoju pomimo wykrętów Tadzia czuła, że grozi mu niebezpieczeństwo a także całej rodzinie. Niemcy wobec partyzantów byli bezwzględni, o czym niejedna rodzina się przekonała.

Nie odstraszało to jednak polskiej młodzieży, a nawet dzieci od zdobywania broni. Najczęściej była ona wynoszona z niemieckich

magazynów, ale i zdobywana z zaparkowanych niemieckich samochodów, które nie posiadały takich zamków i zabezpieczeń jak stosowane obecnie. Jedną z metod stosowanych przez Niemców zabezpieczenia drzwi samochodów była dość oryginalna i niebezpieczna „sztuczka”, pod tylne koło samochodu kładziono ręczny granat z długą drażoną przez środek rączką, przez którą przechodziła taśma do zrywania zawleczonego zapalnika. Do tej taśmy po odkręceniu zaślepiającego korka przywiązywano silną linkę stalową, lub drut i przeciągano do klamki samochodu. Przy nieuwważnym otwarciu drzwi samochodu następował wybuch granatu. Niemcy raczej nie mieli zamiaru pozbywać się tak samochodów, ale odstraszano ewentualnych włamywaczy. Nie była to jednak dla Tadzia i Zdzisia przeszkoda w realizacji ich planów. Młodszy Zdzisio wchodził pod samochód i w żyznej lessowej glebie włodzimierskiej ulicy podkopywał granat z pod koła, następnie Tadzio wynosił ewentualnie broń i dokumenty, jakie znalazł w samochodzie i wraz z zdobyczym granatem w ciągu kilkunastu sekund było po operacji. Opisałem tę metodę zdobywania broni tak szczegółowo aby pokazać jak niebezpieczne były te zadania i jak odważne były te dzieciaki. Często ich dowódcy nie mieli pojęcia jak oni zdobywali te środki walki, chyba nigdy nie pozwoliliby na takie działania, a przecież wszyscy rówieśnicy Tadzia postępowali podobnie.

Niestety zadania te często przerastały umiejętności młodych chłopców. Pewnego marcowego dnia 1944 r. podczas wykręcania zapalnika ze zdobytej miny przeciwczołgowej, Tadzioowi wybuchł zapalnik w rękach. Został ciężko ranny głównie w jamę brzuszną, obydwie ręce i jedną nogę. Całą twarz miał również poranioną drobnymi odłamkami zapalnika. Pomimo starań niemieckich lekarzy (ponieważ Tadzio trafił do wojskowego szpitala, który zorganizowali Niemcy w jednej ze szkół) po kilkunastu godzinach męczarni zmarł. Do końca swego krótkiego życia był przytomny, wypowiadał się, przepraszał Matkę, która nie odstępowała Go ani na chwilę, zmarł w Jej ramionach.

W czerwcu 1944 r. rodzina Tadzia przeprowadziła się na ulicę Artyleryjską do domku Państwa Koperów, którzy wyjechali do swojej rodziny do Łowicza zostawiając swój domek pod opieką Annie. Niedaleko był cmentarz, na którym spoczął Tadzio. Anna co-

dziennie zlewała łzami jego grób, ale rozpacz Syna jej już wrócić nie mogła.

Niemiec Wentz jako odprawę pośmiertną Tadzia wypłacił około 350 karbowaniców, z których ani jeden nie został wydany. Tak postanowiła Anna i chociaż znów było głodno i chłodno ani jeden karbowaniec nie został zamieniony na żywność. To zdawałoby się irracjonalne postępowanie mogła zrozumieć tylko Matka Polka. Dzieci Anny to zaakceptowały i choć głodne były dumne ze swojej Matki i tak już zostało na zawsze do dziś i póki żyć będą.

Była wiosna 1944 r. cofające się wojska niemieckie z frontu wschodniego, przechodziły przez Włodzimierz tylko teraz w przeciwnym kierunku. Do domku na ulicy Artyleryjskiej został dokwaterowany major lekarz bardzo porządny i dobry człowiek oraz dowódca radiostacji na samochodzie, który szczególnie upodobał sobie najmłodszego brata Tadzia i wraz z nim pełnił dyżury przy radiostacji.

Po Niemcach przyszli Sowieci najpierw zamieszkało wojenne małżeństwo NKWD-zistów, których się wszyscy bali, a później 19-letni kapitan lotnictwa Misza Miaczkow wspinały młody chłopak, który dzielił się z całą rodziną Tadzia otrzymywanymi konserwami i wszystkim co tylko miał. Kiedy wyjeżdżał na nowe lotnisko zostawił dzieciom prawie swoje ciepłe lotnicze ubrania, buty, rękawice. Z łzami w oczach żegnały go dzieci, tak się do niego przywizały. Nigdy już więcej o nim nie usłyszały, był jeszcze jednym zamieszanym w tą okropną wojenną zawieruchę.

W czerwcu 1944 r. było wiadomo, że Włodzimierz już polskim nie będzie. Rodzina Tadzia została przez znajomego przewieziona do Hrubieszowa tylko Tadzio pozostał tam w wołyńskiej ziemi. Matkę Tadzia ktoś ze znajomych namówił żeby złożyła odpowiednie dokumenty w urzędzie w Lublinie to zgodnie z rozporządzeniem o służbie wojskowej z 1939 r. otrzyma zasiłek pieniężny. Och jakże bardzo przydała by się ta pomoc rodzinie Tadzia. Matka, która szukała męża przez Czerwony Krzyż podała że mąż był „granatowym policjantem”. Nie mogła znaleźć długo pracy, była zbyt dumna aby o pomoc zwracać się do swojej rodziny w łomżyńskim, a tym bardziej do rodziny męża mieszkającej w Przemyślu.

Okazało się jednak, że Tadzio walczył nie po tej stronie „barykady”. Armia Krajowa w odróżnieniu od GL, AL, czy BCh już wtedy została uznana przez nową władzę za organizację wroga, a nawet zbrodniczą.

Tak właśnie o Tadzio zapomniała Ojczyzna, a przecież to była Polska. Cóż On i jego koledzy, którzy wiosną 1944 r. uciekli do tego samego oddziału 27 WDP AK w Bielinie, do którego Tadzio setki razy woził broń i przekazywał różne informacje od ks. Żarkowskiego, mieli wspólnego z polityką. Oni nie szczędząc krwi walczyli z okupantami i wrogami Polski i Polaków. Do oddziału tego trafili Halina i Stach Sawiccy, Bronisław Nosal (Włodarski) i wielu, wielu innych młodych chłopców i dziewcząt z Włodzimierza. Niektórym z nich udało się przeżyć forsowanie Prypeci, kiedy to z tyłu strzelali do nich Niemcy, a z przodu Sowieci. Po forsowaniu Prypeci, wstąpili następnie do I Armii Wojska Polskiego.

Cała trójka, która uratowała Tadzia i jego rodzinę od wywózki przez Sowietów na Sybir przeżyła ten wojenny okres. Halina Sawicka ps. „Poziomka” została ranna podczas przeprawy przez Prypeć i szczęśliwie przy pomocy kolegów brocząc krwią dotarła do brzegu. Rodzina Tadzia nigdy nie zapomniała tego, co Oni uczynili dla nich, zawsze w wigilijny wieczór, kiedy łamano się opłatkiem myśli ich biegły ku Halinie i Stanisławowi Sawickim, oraz Bronisławowi Nosalowi, to Oni uratowali im życie.

Wojenną zawieruchę przeżył również Kazimierz Danilewicz ps. „Krzak” i to z pod jego ręki wyrósł w 50 rocznicę powstania i walk najwyższy w Stolicy Polski – Warszawie, Pomnik 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, najwyższy, ponieważ wyrazi najwyższego hołdu ofiarom i tym, którzy przeżyli winien jest Nasz Naród!

Nie doczekał Tadzio tej chwili, ale to też jemu oddaje cześć ten szczerbiec symbol walki o Polskie Kresy.

Możesz spać spokojnie Tadzio na wołyńskiej ziemi, Ojczyzna o Tobie nie zapomniała!

Cześć Twojej pamięci!

Wołyniak

Gdynia, w lutym 2001 roku

* * *

PULKOWNIK DYPL. JÓZEF BIEDROŃ NASZ WIELKI PRZYJACIEL

Przed dwoma laty, dnia 6 listopada 2000 r., Pan płk dypl. Józef Biedroń przestał pełnić obowiązki Komendanta Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej im. 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w Chełmie i przeszedł w stan spoczynku.

Pan Józef Biedroń był organizatorem od podstaw i pierwszym Komendantem chełmskiego Oddziału, zaliczanego do najlepiej ochraniających naszą granicę, w tym przypadku na odcinku najtrudniejszym, bo sąsiadującym z byłymi republikami Związku Sowieckiego.

Na pewno nie do kompetencji cywilów należy ocena tych działań, dla których powołany został Nadbużański Oddział Straży Granicznej. Natomiast z całą odpowiedzialnością można uwypuklić te cechy charakteru dowódcy NOSG, które stały się jego szlachetną wizytówką.

Postać Pana Pułkownika Biedronia była ściśle związana z 10-letnim okresem współpracy chełmskiego Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK z Nadbużańskim Oddziałem Straży Granicznej. Rozpoczęła się ona wieloma rozmowami i bliższym poznaniem się obu formacji, które zbliżyły do siebie wspólne zainteresowania i szacunek dla patriotycznych tradycji narodu. Następnie nowa jednostka graniczna na tym terenie dokonała poświęcenia sztandaru i przyjęła imię 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, największego zgrupowania armii podziemnej w latach wojny i okupacji niemieckiej.

Współpraca ta zaowocowała trwałym upamiętnieniem miejsc walk i wiecznego spoczynku żołnierzy 27 WD AK na Wołyniu oraz na ziemi chełmskiej, lubelskiej i zamojskiej. Przy pomocy Pana Komendanta Środowisko mogło dokonać na Wołyniu renowacji cmentarzy wojennych i parafialnych, m.in. w Bielinie, Bindudze, Rymaczach i Zasmykach oraz ochronić te święte miejsca przed całkowitą zagładą, a także postawić krzyże na niektórych, z trudem zlokalizowanych zbiorowych mogiłach ofiar masowych rzezi, dokonanych

przez bandy nacjonalistów ukraińskich. Kadra oficerska Oddziału wyjeżdżała też na Wołyń, by tam porządkować polskie cmentarze i podnosić powalone krzyże i pomniki na grobach naszych rodaków.

Natomiast w Chełmie, na cmentarzu parafialnym, Straż Graniczna zbudowała okazałą kwaterę na grobie żołnierzy Dywizji, którzy zginęli jako jeńcy w obozie niemieckim przy ul. Okszwoskiej w Chełmie, zbombardowanym przez lotnictwo sowieckie w czerwcu 1944 r. Ponadto w koszarach Oddziału NOSG przy ul. Trubakowskiej została urządzona Izba Pamięci, poświęcona historii Dywizji i jej bohaterskim zmaganiom z wrogami Polski.

Dzięki patriotycznemu zaangażowaniu i wrażliwości społecznej Pana Komendanta, Środowisko chełmskie uczestniczyło w odbudowie zniszczonych świątyń katolickich w Lubomlu, Lucku, Rymaczach, Turzysku i Włodzimierzu Wołyńskim na Wołyniu, które są śladami polskiej, wielowiekowej obecności na ziemiach oderwanych od macierzy.

Przeprowadzona w 1992 roku pierwsza ekshumacja 350 ofiar rzezi popełnionej przez zbrodniarzy ukraińskich spod znaku OUN-UPA na bezbronnych i niewinnych mieszkańcach polskich wiosek – Ostrówki i Wola Ostrowiecka w powiecie lubomelskim, mogła odbyć się dzięki decyzji Pana Komendanta o skierowaniu do udziału w niej dziesięciu funkcjonariuszy Straży Granicznej.

Nadbużański Oddział Straży Granicznej im. 27 WD AK aktywnie uczestniczył też w podniosłych uroczystościach związanych z nadaniem pięciu szkołom średnim i podstawowym naszego regionu w: Dorohusku, Dubience, Kodniu, Rudzie-Hucie i Świerżach imion 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej i jej dowódców, a także udostępniał kilkakrotnie swoje koszary dla organizacji krajowych Zjazdów Okręgu Wołyńskiego Armii Krajowej.

Kolejnym, chlubnym rozdziałem współpracy Środowiska z NOSG były akcje pomocy Polakom na ziemi wołyńskiej, a także wielokrotnie ukazywana przychylność kadry oficerskiej w rozwiązywaniu trudnych problemów osobistych żołnierzy naszego Środowiska, którym zły los nie oszczędził cierpień, upokorzeń i niedostatków.

Każdego roku Pan Pułkownik Biedroń z przykładną gorliwością przygotowywał rocznicowe uroczystości, mające na celu uczczenie

pamięci bohaterskich obrońców naszych granic na wschodzie – żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, którzy doświadczywszy tragicznego ciosu w plecy, 1 października 1939 r. stoczyli ostatnią bitwę z Armią Czerwoną pod Wytycznem na Ziemi Chełmskiej. Tu wielu z nich złożyło ofiarę ze swojego życia, ginąc nie tylko w boju z przeważającą siłą wroga uzbrojonego w broń pancerną, ale również jako bezbronni jeńcy i ciężko ranni z rąk zbrodniarzy – żołnierzy Armii Czerwonej i miejscowych Ukraińców.

Zafascynowany najnowszą historią dziejów naszego narodu, stał się Pan Pułkownik orędownikiem ratowania ginących śladów polskiej obecności na Kresach Wschodnich II RP. Z wielkim szacunkiem i solidarnością odnosił się nie tylko do żołnierzy 27 WD AK, ale także do ludzi Wołynia, których szatańska nienawiść nacjonalistów ukraińskich do Polaków i zradziecka zmowa aliantów wyrzuciły z odwiecznych ziem ich ojców.

Szacunek Dowódcy Oddziału dla bohaterskich zmagañ 27 WD AK z wrogami naszej niepodległości oraz dla weteranów – obrońców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej była dla członków Środowiska impulsem rozlicznych działań o charakterze patriotyczno-religijnym i społecznym.

Członkowie Środowiska byli zbudowani postawą patriotyczną i obywatelską Pana Komendanta, a także szlachetną bezinteresownością, która stała się godnym naśladowania wzorem dla młodego pokolenia Polaków, każdego roku powoływanych do obrony naszych granic. Szczególnie doceniano to, że mimo rozlicznych obowiązków i ciężkiej odpowiedzialności, Środowisko zawsze mogło liczyć na zrozumienie i życzliwy kontakt z Panem Komendantem Biedroniem. Podkreślano też Jego serdeczność, bezpośredniość i poczucie humoru.

Żyjąc i działając w czasach niekontrolowanych przemian i zawirowań politycznych, Pan Biedroń zachował postawę twórczego realisty. Pełniąc odpowiedzialną funkcję i oddając się pasjom społecznym, potrafił wznieść się ponad gorszące waśnie i podziały na szczytach władzy, które rujnowały kraj, zubożały naród i osłabiały suwerenność państwa.

Przez członków organizacji postrzegany jako człowiek energiczny, zdecydowany i odważny w działaniu, zachowujący postawę

optymisty, dotrzymujący słowa, o zainteresowaniach nobilitujących godność i szlachetność polskiego oficera, zawsze kierujący się – przywróconą do łask w służbach mundurowych, po latach ograniczonej suwerenności – dewizą: Bóg – Honor - Ojczyzna.

Współdziałanie z dowodzonym przez Pana płk. Józefa Biedronia Nadbużańskim Oddziałem Straży Granicznej przyczyniło się do twórczej integracji żołnierzy 27 WD AK, których los skierował na gościnną Ziemię Chełmską, gdzie mogli zamieszkać i rozpocząć nowe życie.

Nazwisko Pana Pułkownika Józefa Biedronia i dowodzony przez niego Oddział mają swoje poczesne miejsce na kartach kroniki działalności chełmskiego Środowiska 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej.

Z dużą satysfakcją organizacja kombatancka przyjęła odznaczenie Pana Pułkownika przez Zarząd Główny zaszczytnym tytułem Honorowego Członka Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Przygnębiającym zaskoczeniem dla Środowiska kombatanckiego było przedwczesne odejście Pana Biedronia z funkcji Komendanta Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej im. 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w Chełmie.

Pan Pułkownik pozostanie w pamięci kresowych kombatanatów Przyjacielem wołyńskiej organizacji, podziwianym za wieloletnią pomoc w działalności Środowiska, która zaowocowała – szczególnie na dawnych Kresach – wieloma sukcesami o wydźwięku ogólnopolskim, a także przyczyniła się do pogłębienia zaufania i zbliżenia sąsiadujących ze sobą narodów słowiańskich.

Mimo upływu czasu kombataneci zorganizowani w dywizyjnym Środowisku ciągle wspominają z wielką życzliwością i wdzięcznością Pana Pułkownika i Jego wspaniałą Kadre Oficerską.

Wpisanie się chełmskiego Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w rytm życia i służby już na samym początku utworzenia Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej, a następnie dobre tradycje zgodnego współdziałania obu formacji przez dziesięć lat zaowocowały kontynuacją twórczych kontaktów w następnym okresie, a jednocześnie wzbogaciły je o kolejne doświadczenia. Jest to zasługa nowego Komendanta, Pana ppłk. Marka Dominiaka i jego kadry oficerskiej, a więc ludzi obdarzonych instynk-

tem patriotycznym i szacunkiem dla dziejów ojczystych, a także wielką kulturą osobistą. To dobre i cenne współdziałanie Oddziału i Środowiska trwa do dziś i ciągle jest wyrazem wzajemnego szacunku i zaufania oraz impulsem do dalszej aktywności i podejmowania nowych zadań, które winny być powinnością każdego Polaka.

* * *

UROCZYSTOŚCI W SZKOLE I GIMNAZJUM im. por. Zbigniewa Twardego „Trzaska” W RUDZIE HUCIE

Środowisko chełmskie 27 WDP AK ma na swoim terenie pięć szkół patronackich, w których co roku odbywają się uroczystości Dnia Patrona. 12 listopada 2002 r. takie uroczystości odbyły się w szkole i gimnazjum im. por. Zbigniewa Twardego „Trzaska” w Rudzie Hucie. Na uroczystość zaproszeni zostali członkowie środowiska wraz z rodzinami. Po Mszy Św., w czasie której ksiądz wygłosił patriotyczną homilię wspominając o żołnierzach 27 WDP AK, uczniowie szkoły przygotowali piękne występy artystyczne. Deklamowali piękny wiersz o por. Zbigniewie Twardym „Trzasku” i odśpiewano ułożoną przez siebie piosenkę. Po akademii odbyło się spotkanie grona nauczycielskiego z członkami środowiska i wspólny obiad.

Święto Patrona - por. Zbigniewa Twardego ps. „Trzask”

Dziś podniosła chwila w Szkole Podstawowej w Rudzie Hucie,
12 listopada 2002 r. – sztandar nad Szkołą powiewa,
Przybyli to żołnierze AK, przyjaciele i życzliwi ludzie,
By czcić czyny waleczne – por. Zbigniewa Twardego.

Dziś nad okolicą i Szkołą promieniuje blask,

W to piękne święto listopadowe

Każdy z szacunkiem wymawia pseudonim „Trzask”

Por. Zbigniewa Twardego – żołnierza Armii Krajowej.

Niech wiatr wolności dziś nad Rudą Hutą wieje,

Niech zaświeci jasne słońce południa,

A „Trzask” niech się wpisze na trwale do kroniki dziejów,

I niech ją czytają – ci co nastaną po nas ludzie.

Niech postawa Patrona w serca uczniów wleje ogień miłości
 I porywa młodzież do wspaniałych czynów,
 Niech uzdrawia ją z gnuśności i chciwości,
 Pomaga Szkole – dobrze wychować córę i synów.
 Niech o „Trzasku” i jego Ludziach – piszą poeci wiersze,
 Niech opowiadają w audycjach i słuchowiskach,
 Niech śpiewają o nich bohaterskie pieśni,
 By ich waleczność poznali bez wyjątku wszyscy!
 Za żołnierzy Armii Krajowej zwycięstwa wszystkie,
 Za ich długie, trudne bojowe lata,
 Za walkę przeciw wrogom wszystkim,
 Na wszystkich krańcach świata.
 Za gorzkie chwile wygnania,
 I noce długie, więzienne,
 Za krew żołnierską przelaną,
 Za modlitwy ciche i bezimienne,
 Za płacz i ból rozstania,
 Za wierność Dywizji Wołyńskiej
 Za Matek i dzieci płkanie –
 Pobłogosław im dzisiaj Chryste!
 Że wstawili się w czynie wojennym,
 Że byli gotowi umrzeć za ziemię ojczystą
 Że w bólu wymawiali zawsze Twoje Imię,
 Pobłogosław Im dzisiaj Chryste!
 Za to, że wierzyli licząc godziny w Bogu,
 Jak paciorki drewnianego Różańca,
 I choć śmierć codziennie stała na progu,
 Nie dali się zaprosić do tańca.
 Pobłogosław jak umiesz najprościej
 Za siłę przetrwania, za wolę męstwa,
 Za drogę do nowej Polski, do wolności,
 Że w walce nie ustali – aż do zwycięstwa.
 W poszumie drzew – błogosław Panie!
 27 Wołyńskiej Dywizji – ślady walk,
 Bo to oni wywidli Polskę z otchłani,
 Niech nad Ruda Hutą – płynie dla nich psalm!

Niech płynie dziś piosenka do nieba,
Nad polami, łąkami, dąbrową,
O Polsce – co zwyciężyła, nie zginęła,
Dzięki Żołnierzom Armii Krajowej!
Dziś hołd Wam wielki składamy,
Dziś wszystkim kłaniamy się nisko,
I słowa podzięki wymawiamy,
Dziękujemy Wam Chłopcy – za wszystko!

Ruda Huta, dnia 12 listopada 2002 r.
Święto Patrona Szkoły Podstawowej
Im. Zbigniewa Twardego w Rudzie Hucie

*Wiersz ten dedykuję
Nauczycielom i Uczniom Szkoły,
A także Żołnierzom AK, obecnym na tym spotkaniu
oraz Czesławowi Zającowi – długoletniemu Przyjacielowi*

Maria Niemiec

Z kolei szkoła w Świerżach im. mjr. Jana Szatkowskiego „Kowala” zorganizowała 20 listopada 2002 r. wyjazd na Wołyń do Rymacz. Wraz z byłymi żołnierzami 27 WDP AK, zwiedzili cmentarz wojskowy dywizji i miejscowy kościół parafialny, a następnie zostali zaproszeni do szkoły w Rymaczach. W zorganizowaniu wyjazdu pomógł szkole Chełmski Oddział Straży Granicznej, za co należą się im serdeczne podziękowania.

* * *

Zbigniew Świąder

ODSŁONIECIE POMNIKA W SŁAWOSZEWIE

Uroczystości odsłonięcia pomnika w Sławoszewie odbyły się w dniu 5 maja 2002 r., a poświęcenia dokonał ks. Jerzy Rychlewski. Ks. Jerzy Rychlewski proboszcz parafii Sławoszew, otacza opieką nie tylko swoich Parafian ale nadzwyczajną opieką i poświęceniem chroni zabytkowy ponad trzysta letni drewniany kościół, pod we-

zwaniem „Świętej Zofii” którego korzenie (zbudowanej początkowo kaplicy) sięgają 1270 r. W tak ważnym historycznym miejscu stanął nasz obelisk 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Dodatkowo wspomnę, że ks. Jerzy Rychlewski uczęszczał do szkoły w Janowcu Wielkopolskim jeszcze przed wstąpieniem do Seminarium Duchownego. Na tym terenie poznał pplk Jana Szatkowskiego byłego dowódcę 27 WDP AK na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie. Ks. Jerzy Rychlewski uczestniczył przy odsłonięciu tablicy pamięci pplk Jana Szatkowskiego ps „Kowal” w dniu 11.12.1989 r. w Janowcu Wlkp., obok naszego pocztu sztandarowego z Krakowa. Poczet sztandarowy reprezentowali: Tadeusz Świąder ps „Wytrwały Żubr”, Zbigniew Świąder ps „Zbyszek”, Lucjan Mikler ps „Lutek”.

Po zakończeniu uroczystości przemaszerowaliśmy przez miasto z byłymi żołnierzami naszej Dywizji i zainteresowaną miejscową ludnością na cmentarz do grobu wiecznego spoczynku naszego Dowódcy, oddając sztandarem hołd przy zapalonych zniczach. Proponuję rozpatrzenie możliwości nadania ks. Jerzemu Rychlewskiemu honorowego kapelana 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Pomnik w Sławoszewie (Przedruk z gazety Jarocińskiej)

Ksiądz Jerzy Rychlewski dokonał poświęcenia pomnika upamiętniającego ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych, sowieckich łagrów, powstańców oraz żołnierzy Armii Krajowej. Obelisk został umieszczony w pobliżu sławoszewskiego kościoła.

Odsłonięcie ogromnego, blisko ośmiotonowego głazu z umieszczonymi na nim tablicami pamiątkowymi, poprzedziła msza św. w miejscowym kościele. Na niedzielnej uroczystości obecni byli przedstawiciele władz gminy, powiatu oraz kombatancki wraz z poczem sztandarowym. W czasie kazania poświęconego wolności, ksiądz proboszcz Jerzy Rychlewski podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do powstania obelisku. O stworzeniu takiego pomnika myślałem już od początku tego roku. Bardzo się cieszę, że moja myśl, moje pragnienie zostało podjęte przez innych ludzi. Jestem im bardzo wdzięczny. Szczególne podziękowania należą się Lucjanowi Miklerowi. Wspomniałem mu o swoim pomysle w czasie kolędy, a

on podjął tę myśl od razu. Podziękowania należą się również radzie sołeckiej, urzędowi gminy. Dzięki nim mamy nie tylko pomnik, ale i polbruk, tuje wokół niego. Tablice granitowe zostały natomiast wykonane i ofiarowane przez Bogdana Stefańskiego z Krotoszyna – powiedział w czasie kazania proboszcz.

Po mszy św. wszyscy przeszli procesyjnie pod pomnik. Odstonienie pomnika dokonali starosta Adam Kołodziej, wójt Walenty Kwaśniewski oraz Lucjan Mikler – byli żołnierze Armii Krajowej. Na dwóch tablicach umieszczono hasła: „Bóg, Honor, Ojczyzna” oraz „W hołdzie ofiarom łagrów sowieckich i niemieckich obozów, powstańców, 27 Wołyńskiej DP, AK, walczących o wolność Ojczyzny”, Poświęcenia pomnika dokonał ksiądz Jerzy Rychlewski. — Jestem bardzo szczęśliwy, że mamy taką piękną wizytówkę. Przecho-
dząc, przejeżdżając obok pomnika wspominać będziemy tych bohaterów, Polaków, którzy przelewali krew i oddawali życie za naszą Ojczyznę. Dzięki nim mamy dziś wolną Polskę. Bóg, Honor, Ojczyzna. Oto hasło Polaka – katolika. Oto zawołanie bohatera. Na jednym z pomników widziałem ten napis z opuszczonym wyrazem „Bóg”. Tak nie można! Ten napis to przecież historia. Dlaczego ktoś boi się Boga i historii? – powiedział na zakończenie proboszcz sławoszewskiej parafii. W intencji wszystkich poległych odmówiony został „wieczny odpoczynek”. Na zakończenie przedstawiciele władz złożyli pod pomnikiem wiązanek biało – czerwonych kwiatów.

* * *



SEKRETARIAT STANU

SEKCJA PIERWSZA - SPRAWY OGÓLNE

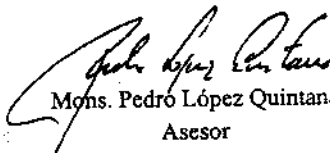
Watykan, 22 listopada 2002 r.

Szanowny Panie,

Jego Świątobliwość – za moim pośrednictwem – przekazuje Panu serdeczne słowa wdzięczności za dar w postaci książki przesłanej wraz z listem z dnia 1 października br.

Ojciec Święty, wdzięczny za życzliwe słowa wyrażone w liście, poleca Pana oraz Jego Bliskich w modlitwie Bogu, upraszając potrzebne dla każdego w życiu codziennym łaski i dary Bożej dobroci.

Łączę wyrazy szacunku



Mons. Pedro López Quintana
Asesor

Szanowny Pan
Andrzej ZUPAŃSKI
ul. 11 Lisopada 17/19
03-446 Warszawa
POLONIA



Włodzimierz R. Juszcak, OSBM
Biskup Diecezji Wrocławsko-Gdańskiej
Kościoła Greckokatolickiego w Polsce

Pl. Biskupa Narłara 15a
50-149 Wrocław
tel. (71) 343 94 77
rel./fax (71) 343 94 87

e-mail: konsystoria@wroc-gda.opoka.org.pl

L. dz.: 02/468

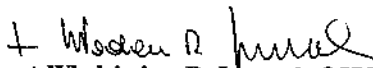
Wrocław, dnia 30.12.2002 r.

Światowy Związek Żołnierzy
Armii Krajowej
Okręg Wołyński
Ul. 11 Listopada 17/19
03-446 Warszawa

Dziękuję bardzo za przesłanie kolejnego dziewiątego tomu materiałów „Polska-Ukraina Trudne Pytania”, który podobnie jak i poprzednie stanowić będzie cenną pozycję w zbiorach Greckokatolickiej Diecezji Wrocławsko-Gdańskiej.

W nadchodzącym Nowym 2003 Roku chcę życzyć nam wszystkim, aby wyświeślenie w pełnej prawdzie wszystkich trudnych spraw z historii wzajemnych trudnych dziejów polsko-ukraińskich, oraz wzajemne chrześcijańskie spojrzenie na siebie Polaków i Ukraińców, przyniosło prawdziwy pokój i pojednanie.

Z należnym uszanowaniem oraz z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku


+ Włodzimierz R. Juszcak, OSBM
Biskup Wrocławsko-Gdański

P. Konsul Generalny
Wojciech Szczesny Kaczmarek
Konsulat Generalny R. P.
5, rue de Talleyrand
75007 Paris

Paryż, 9/12/02

Szanowny Panie Konsulu,

Dziękuję bardzo za przekazanie nam monografii pt *Żołnierze Wołynia*. Zwróciłem się oczywiście bezpośrednio z podziękowaniem do SZZAK w Wołyniu. Książka ta jest cenną pamiątką trudnych czasów i znajdzie ona odpowiednie miejsce w naszej Bibliotece.

Łączę wyrazy szacunku

 
C. Pierre Zaleski
Dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu



**Pan
mgr inż. Stanisław A d a m i a k
Prezes Zarządu Przedsiębiorstwa
Handlowo-Usługowego
Eksport-Import „ZOMAR”
w Chełmie**

Zarząd Środowiska Żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w Chełmie pragnie wyrazić serdeczne podziękowanie Szanownemu Panu Prezesowi, Kierownikowi i Pracownikom Przedsiębiorstwa „ZOMAR” za szczodre wsparcie w 2000 roku kwotą 5000 zł naszej inicjatywy budowy drogi dojazdowej do katolickiego cmentarza wojennego w Rymaczach na Wołyniu, na którym pochowanych jest ponad 100 żołnierzy naszej Dywizji, poległych podczas przebijania się z niemieckiego okrażenia w Lasach Mo-surskich i przechodzenia przez tory kolejowe na przedpołu stacji Jagodzin w kwietniu 1944 roku.

Dzięki godnej najwyższego uznania Pana życzliwości mogliśmy – w tak trudnym czasie i skomplikowanej sytuacji na Ukrainie – wybudować przez teren bagienny nasyp drogowy o długości około 300 m (wraz z przepustem na strumieniu), który połączył drogę dojazdową do wsi Rymacze z peryferyjnie położonym cmentarzem wojennym. Wspomniany nasyp drogowy, wykonany z piasku i pospółki, umożliwił swobodny dojazd autokarów z Polski do wcześniej odrestaurowanego przez nas cmentarza i dogodne przejście pielgrzymek do tego miejsca wiecznego spoczynku naszych żołnierzy.

Do naszych wyrazów wdzięczności dołączają się z gorącymi podziękowaniami za Pana szczodrość pielgrzymujący do rymackiej nekropolii członkowie pozostałych 15 Środowisk Żołnierzy 27 WD AK w kraju oraz rzesze rodaków z polskiego Wołynia i ich rodziny.

Życzymy Panu Prezesowi dużo zdrowia i wszelkiej pomyślności oraz pełnej satysfakcji z działalności zawodowej i społecznej, a Przedsiębiorstwu „ZOMAR” dynamicznego rozwoju i zwielokrotnienia zysków, z których – jakże często – niebagatelne kwoty przeznaczane są na realizację szlachetnych celów.

Z wyrazami głębokiego szacunku

**Z a r z ą d
Środowiska Żołnierzy
27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej
w Chełmie**

Chełm, dnia 30 września 2002 r.

PARAFIA RÓWNE NA WOŁYNIU. PROŚBA O DAR SERCA

Środowisko Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w Chełmie od kilku lat – przy okazji comiesięcznych spotkań organizacyjnych swoich członków – przeprowadza dobrowolne kwesty wśród uczestników zebrań na cele misyjne, charytatywne i ratowanie ginących śladów wielowiekowej obecności Polaków na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej, a wśród nich świątyń katolickich i polskich cmentarzy. I chociaż bywają to raczej skromne kwoty, co usprawiedliwia status materialny kombatanów i wzrastający kryzys ekonomiczny – gospodarczy państwa oraz pogłębiające się różnice klasowe z podziałem na wąską elitę bogaczy i skrzywdzone masy, żyjące w niedostatku, to jednak nie ulega wątpliwości, że są to najczęściej dary ogarniętych nostalgią serc, solidaryzujących się z utracenymi ziemiami naszych ojców, a także z ludźmi dotkniętymi panującą tam biedą i nieszczęściem.

Jedną z takich zbiórek wśród członków Środowiska przeznaczono na rzecz pomocy dynamicznie rozwijającej się parafii rzymskokatolickiej w Równem na Wołyniu, której proboszczem jest ks. Kanonik Władysław Czajka z Polski, nieustrudzony człowiek czynu, wspaniały duszpasterz oddany służbie Bogu i bliźnim.

Z tej okazji, Społeczny Komitet Pomocy Parafii Rzymskokatolickiej w Równem na Wołyniu z siedzibą w Janowie Lubelskim skierował do chełmskiego Środowiska podziękowanie za ten skromny dar wraz z następującym apelem do osób wrażliwych na ludzką biedę, pogłębianą latami niewoli, wymuszonego bezbożnictwa, komunistyczną indoktrynacją i prześladowaniami:

„Drodzy Przyjaciele i Dobrodzieje Chrystusowego dzieła na Wołyniu!

Przez dziesiątki lat na Kresach i w całym imperium starano się wszelkimi możliwymi sposobami przeszkodzić wierzącym w Chrystusa w wyznawaniu i praktykowaniu swojej wiary. W imię jedynie „śluszej i prawdziwej” ideologii, postawiono w stan oskarżenia samego Boga. Zaprzeczono, że Pan Bóg chce dobra, rozwoju i szczęścia człowieka. Ewangelię zamieniono na podręczniki, które miały

zrodzić nowego człowieka. Wyrzucono Boga ze świątyń, systematycznie i planowo wyrwano Go z ludzkiego serca. Usiłowano Bogu zniszczyć. Bóg trafił na długie zesłanie w śniegi Syberii.

Kiedy nastąpił przełom, pozwolono wrócić wygnanemu Bogu. I wrócił wraz z tymi, którzy zachowali Go w sercu. Jednak los powracającego wygnańca nie jest łatwy, bywa przecież, że nie ma On dokąd wracać.

Zwracamy się do Was, Współpracowników dzieła misyjnego na Wschodzie o wsparcie i pomoc, o współudział w trudnej drodze wychodzenia z getta. Wierzimy, że każda Wasza ofiara – modlitwy, cierpienia czy materialna przyczyni się do realizacji powziętego dzieła. A jego celem jest droga ku spotkaniu z Ojcem. Niech więc dzieje świata toczą się w pokoju pod rządami Chrystusa, a Jego Kościół niech trwa, rozwija się i bez przeszkód Mu służy”.

Osobom zainteresowanym pomocą parafii Równe, która remonuje i wyposaża świątynie katolickie, a jednocześnie udziela pomocy charytatywnej ludziom bardzo biednym, bezdomnym, samotnym i chorym – również prawosławnym Ukraińcom oraz jest szlachetnym przykładem budowania zrębów zgodnego współistnienia na tamtym terenie obywateli różnych narodowości w imię głoszonego przez Kościół katolicki przykazania miłości Boga i bliźniego, proszone są o dokonanie wpłat na następujący rachunek bankowy:

**Spółeczny Komitet Pomocy Parafii Rzymskokatolickiej
w Równem na Wołyniu, Janów Lubelski
PEKAO S.A. O/Janów Lubelski
nr 107001669-52517-2221-01001**

z dopiskiem na przekazie: „Cel charytatywny”, co w tym przypadku zwalnia od ponoszenia kosztów manipulacyjnych.

* * *

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Podajemy nazwiska żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, samoobrony, konspiracji na Wołyniu, zmarłych w ostatnim okresie:

1. Szymański Stefan „Strzałka” I/23 pp, w Poznaniu
2. Kulesza Kazimierz „Markierant” I/50 pp, w Mały Markotów
3. Wielgat Mieczysław „Szczapa” komp. łączn., w Łodzi
4. Soroka Franciszek „Sroka” I/43 pp, w Szczekowice
5. Białachowska Danuta „Dzika” kons. Dubno, w Poznaniu
6. Korzeniowski Henryk „Sokół” samobr.Przebraże, w Niemodlinie
7. Kotecki Feliks samobr. Wydymer, w Ślawa
8. Smaczny Józef samobr. Antonówka k/Sarn, w Ślawa
9. Kopczyński Bolesław „Bak” II/23 p, w Krakowie
10. Zielnik Czesław „Tulipan” I/23 pp, w Pionki
11. Franus Janina „Malina” sanitar. op „Bomba”, w Biała Podlaska
12. Kobyłański Władysław „Jerzyk” I/45 pp Chicago w USA
13. Trzebieniak Tadeusz „Orzeł” I/45 pp, w Gliwicach
14. Kownacki Franciszek „Kraj” samobr.Przebraże w Skrabiszowice

Sprostowanie:

W poprzednim numerze BJ nr 3/75/lipiec-wrzesień 2002 r. omyłkowo podano do redakcji i wydrukowano, że zmarł kol. Franciszek Kownacki „Antek” z samoobrony Przebraże, zamieszkały w Niemodlinie. Kolega ten żyje. Za omyłkę serdecznie przepraszamy żyjącego kol. Franciszka Kownackiego „Antka”, z samoobrony Przebraże, zamieszkałego w Niemodlinie, jak również serdecznie przepraszamy naszych szanownych czytelników.

* * *

Wydawnictwa książkowe ŚZZ AK Okręgu Wołyń, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach:

 Książka „**Przed Akcją Wisła był Wołyń**” wydanie drugie poprawione i uzupełnione str. 186. Jest pracą zbiorową pod redakcją prof. dr hab. Władysława Filara, zawiera materiały do studiów konfliktu polsko – ukraińskiego w II wojnie światowej ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń wołyńskich i działalności OUN-UPA na obszarze południowo-wschodniej Polski pojałtańskiej.

Książka ma dużą wartość poznawczą w dochodzeniu prawdy historycznej, ukazuje ścisły związek wydarzeń wołyńskich lat 1942-1944 z wydarzeniami w południowo-wschodniej Polsce. Zawiera fakty oparte na bogatej bazie dokumentów archiwalnych, pozwalające obiektywnie spojrzeć na przebieg wydarzeń w Polsce w latach 1944-1947. Cena 15 zł.

 **Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu w drugiej wojnie światowej** aut. prof. Władysława Filara wyd. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Wołyń – Warszawa 1999r. Cena 12 zł.

Książka składa się z dwóch części: dokumentów i materiałów dotyczących eksterminacji ludności polskiej oraz chronologii wydarzeń na Wołyniu. W pierwszej części autor przedstawił ponad 100 dokumentów polskich, niemieckich, rosyjskich i ukraińskich związanych z wydarzeniami na Wołyniu oraz podjął próbę formalnej analizy zebranych materiałów, a także ich oceny. W drugiej części, ważne dla analizy stosunków polsko – ukraińskich wydarzenia na Wołyniu przedstawione zostały w ujęciu chronologicznym. Pozwala to widzieć je we wzajemnym powiązaniu i uwarunkowaniu, jako ciąg pewnego procesu historycznego i oceniać je obiektywnie. Autor wyodrębnił cztery okresy wydarzeń wołyńskich: I okres (wrzesień 1939 – czerwiec 1941) obejmujący okupację sowiecką Wołynia; II okres (czerwiec 1941 – luty 1943) – początek okupacji niemieckiej Wołynia; III okres (luty 1943 – grudzień 1943) – rozwój oddziałów

zbrojnych OUN i nasilenie akcji antypolskich ze strony OUN – UPA; IV okres (1944 rok) – realizacja założeń operacji „Burza” na Wołyniu.

Liczne dokumenty archiwalne przedstawione w opracowaniu oraz przebieg wydarzeń na Wołyniu jednoznacznie obarczają stronę ukraińską za rozpoczęcie i dokonywanie masowych mordów ludności polskiej w celu pozbycia się jej z terenów Wołynia i Małopolski Wschodniej.

 **„Burza na Wołyniu”,** str. 286. Wyd. Rytm, Warszawa, prof. Władysława Filara. Książka stanowi studium historyczno – wojskowe obejmujące genezę i działania 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK (1943-1944), jednej z największych jednostek partyzanckich w kraju. Dywizja zapoczątkowała akcję „Burza” i najdłużej realizowała jej założenia na Wołyniu i Lubelszczyźnie, działając nieprzerwanie przez siedem miesięcy jako zwarty i zorganizowany związek taktyczny. Trzykrotnie okrążona przez przeważające siły wojsk niemieckich (lasy mosurskie, lasy szackie, lasy parczewskie) nie dała się zniszczyć, przebijając się z okrążenia i kontynuowała dalszą walkę, aż do podstępного rozbrowienia przez wojska sowieckie (25 lipca 1944 r.). Książka oparta na bogatym materiale źródłowym ukazuje niewymierny wysiłek żołnierzy 27 WDP AK, ich wolę walki o wolność Ojczyzny i stanowi ważny przyczynek do poznania dziejów polskiego ruchu niepodległościowego na Kresach Wschodnich w czasie II wojny światowej. Cena 12 zł.

 **Wojskowe i historyczne tradycje 27 WDP AK** - Czesława Piotrowskiego, str. 254. Opracowanie przedstawia historię 27 Dywizji Piechoty od jej powstania w 1920 r. do jej odtworzenia w akcji „Burza” pod nazwą 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej wraz z wchodzącymi w skład dywizji pułkami. Cena 4 zł.

 **Armia Krajowa na Wołyniu,** str. 99 - Praca zbiorowa, przedstawiono w niej konspirację, samoobronę, akcję „Burza” na Wołyniu i 27 Wołyńską Dywizję Piechoty AK w operacji kowelskiej. Zawiera 5 mapek terenów działania 27 WDP AK. Cena 4 zł.

 **„Przez Wołyń, Polesie na Podlasie”,** str. 246, książka związana z historią Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Są to wspomnienia z lat 1943-1944 młodego, wówczas szesnastoletniego

chłopca z Huty Stepańskiej, na Wołyniu Czesława Piotrowskiego „Czesia”, uczestnika samoobrony rodzinnych stron, partyzanta akowca O.P. „Bomby”, „Wujka”, a później żołnierza I/45 pp. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Wspomnienia są zweryfikowane, nie kolorowane, uzupełnione zbiorem rzetelnie, opracowanych załączników. Jest w pełni udokumentowaną pracą historyczną OP „Bomby”, „Wujka”, który już w składzie I/Bat. 45 pp. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej wszedł do akcji „Burza” na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie. Cena 20 zł.

 Książka **„Wołyński Życiorys”** aut. Bogusław Soboń, wyd. ŚZZAK Okręg Wołyń, wydanie drugie uzupełnione i poszerzone, str. 167, cena 12 zł.

Jest to rodzaj życiorysu, obejmujący lata, przez autora spędzone na Wołyniu, z monograficznym omówieniem miejscowości w których przeżył dzieciństwo i wczesną młodość, czasy okupacji sowieckiej i niemieckiej, czasy zbrodni ukraińskich nacjonalistów w 1943 r. i zagładę Janowej Doliny, polskiego przemysłowego osiedla, oryginalnego, odmiennego od innych w sensie urbanistycznym i społecznym. W książce zamieszczono wiele zdjęć (dokumentalnych), mapki i szkic osiedla. Jest to także życiorys nieistniejącej „Wołyńskiej perły” Janowej Doliny, unicestwionej zbrodniczą ręką ukraińskiego nacjonalizmu wiosną 1943 r., która stała się grobowcem zamordowanych przeszło 600 mieszkańców bez wyjątku wieku i płci, często w ich domostwach żywcem spalonych. Osiedle zamieniono w wielkie cmentarzysko porośłe półwiekowym dorodnym lasem. Miejsce to nie bez przeszkód, dopiero w 1998 r., zostało upamiętnione monumentalnym Pomnikiem Krzyżem, przez b. mieszkańców, ich rodzin i Wołyniaków.

 **„Pożoga”.** Walki 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK aut. Józefa Turowskiego, str. 596. Książka oparta o dokumenty, relacje i wspomnienia. Naukowo opracowana historia 27 WDP AK wraz z przypisami, zdjęciami i mapami w liczbie 75. Cena 17 zł.

 **Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego według Dmytra Doncowa.** Praca doktorska Wiktora Poliszczuka omawiająca i obnażająca ideologię nacjonalizmu ukraińskiego pogłębiająca o nim wiedzę. Cena 10 zł.

 Książka aut. Janina Żmijewska – Maszkowska „Dzwoneczek – Jaga”. Sanitariuszki 27 WDP AK – str. 119, cena 20 zł.

 Wymienione wydawnictwa książkowe ŚZŻ AK Okręgu Wołyń, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach. Także można je nabyć w siedzibie **Wołyńskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, przy ul. 11-Listopada 17/19, 03-446 Warszawa, w godz. 10-12 w każdą środę.** Wysyłane mogą być drogą pocztową, **po uprzednim wpłaceniu równowartości wydawnictwa plus koszt przesyłki na konto bankowe PKO III O/M Warszawa 10201039-104580-270-1-111.** Na odwrocie przekazu należy wymienić tytuł książki i ile egzemplarzy się zamawia. Również wysyłane mogą być za zaliczeniem pocztowym.

* * *

Podaje się do wiadomości, że Zarząd Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej otworzył własną stronę internetową: www.szzak-wolyn.pl, na której podawane są informacje o działalności Okręgu, aktualności, ogłoszenia, apele, a także opracowania historyczne dotyczące Wołynia oraz stosunków polsko – ukraińskich w latach drugiej wojny światowej.

Zarząd Okręgu

CZYTELNIKU

- ***Prenumerujcie i czytajcie Wasze pismo – piszcie do niego***
- ***Czy nie zapomnieliście na 2003 rok zaprenumerować swoje pismo - Biuletyn Informacyjny***
- ***Pośpiesz odnowić prenumeratę na 2003 rok***
- ***Prenumerata roczna 25 złotych***

Redakcja „Biuletynu Informacyjnego”

ul. 11 Listopada 17/19

03-446 WARSZAWA

Konto bankowe PKO III O/Warszawa

10201039-104580-270-1-111

00-867 WARSZAWA, ul. Chłodna 31

SPIS TREŚCI

1. Przyczyny, przebieg i skutki operacji „Wisła”-Felix Budzisz	4
2. W szeregach 27 WDP AK (dalszy ciąg)-Jan Jaromiński „Trzyjot”	15
3. Protest w sprawie OUN i UPA	31
4. Poświęcenie pomnika nad Prypecią-Zygmunt Maguza „Waleczny”	33
5. Leon Karłowicz (Mariański) żołnierz, nauczyciel, regionalista, poeta, historyk-Leon Popek	36
6. Pielgrzymka na Wołyn 9-10.11.2002 r.-Antoni Mariański	40
7. Tadzio	45
8. Pułkownik dypl. Józef Biedroń Nasz Wielki Przyjaciel, Zenon Wira	56
9. Uroczystości w szkole i gimnazjum w Rudzie Hucie	60
10. Odsłonięcie pomnika w Sławoszewie-Zbigniew Świader	62
11. Podziękowania:	
- od Papieża	65
- od biskupa Wrocław. – Gdańsk.	66
- od dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu	67
- dla przedsiębiorstwa „ZOMAR”	68
12. Parafia Równe na Wołyniu. Prośba o dar serca-Zenon Wira	69
13. Z żałobnej karty	71
14. Książki, wydawnictwa, opracowania	72
15. Informacje	76

* * *